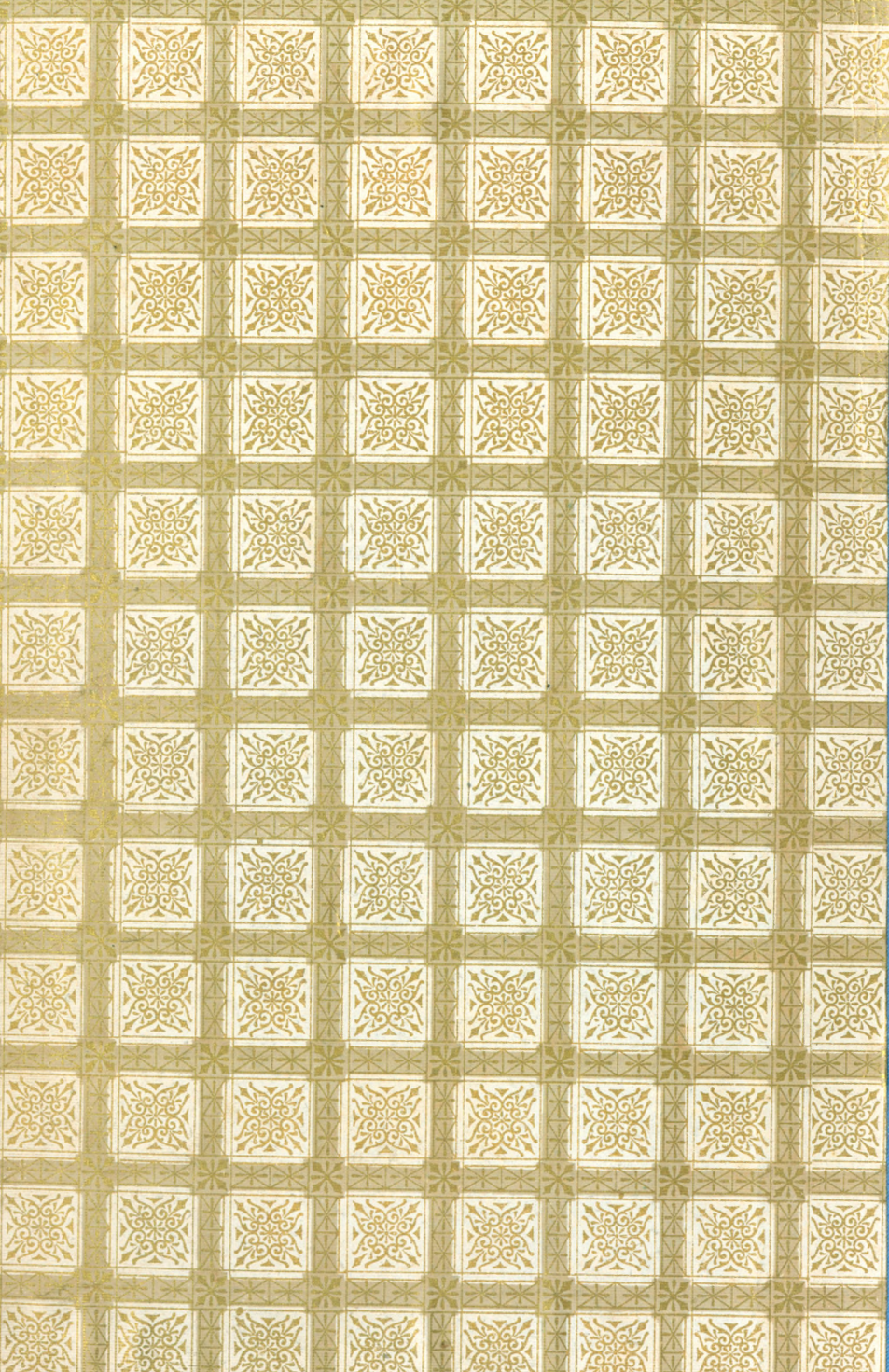
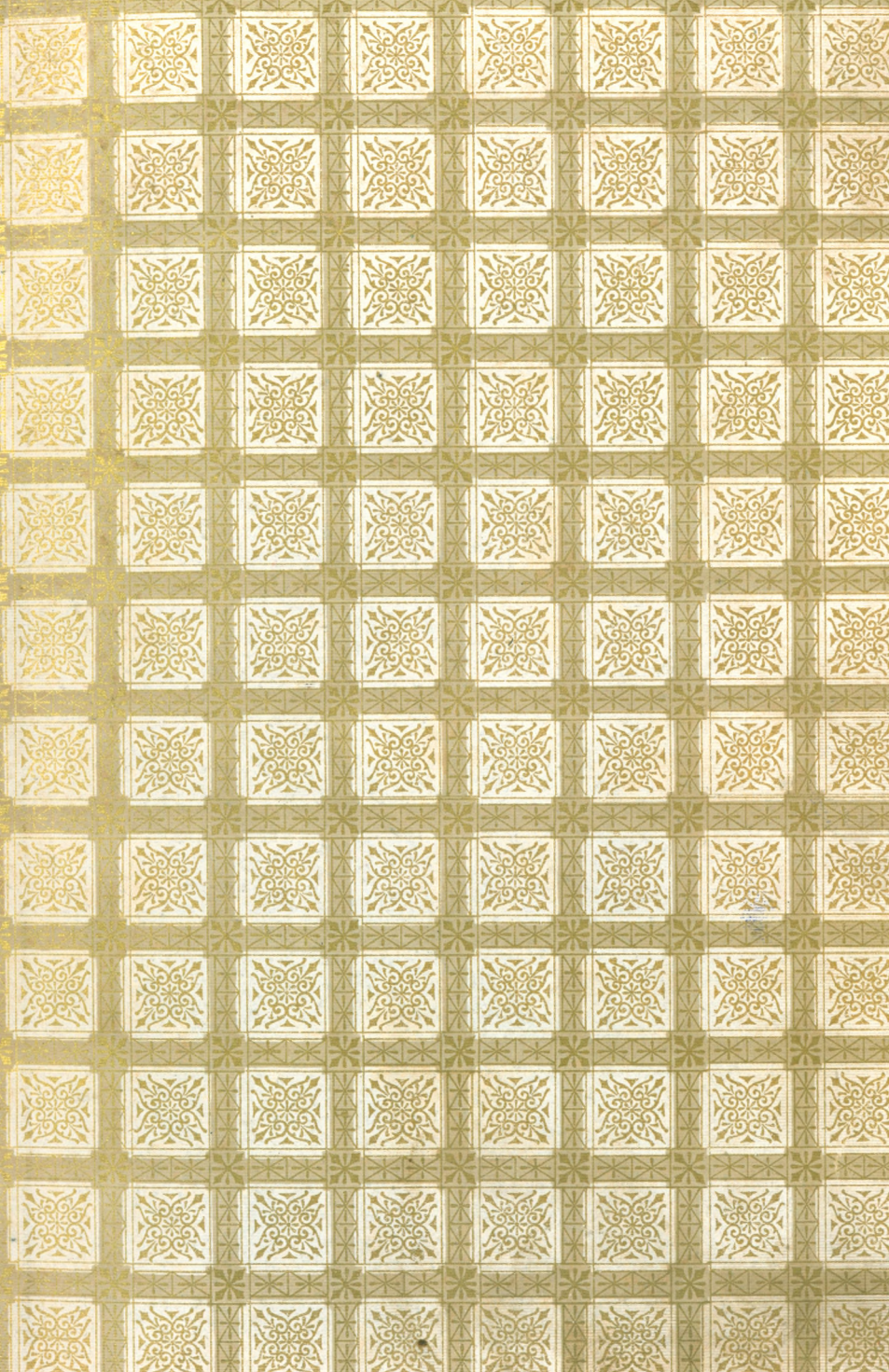


S. ROSSOWSKI

POEZJA











Libra i drukarnia Księgarnia

Stanisław Rossowski.

P O E Z J E.



LWÓW.

GUBRYNOWICZ I SCHMIDT.

1886.

DRUKIEM PILLERA I SPÓŁKI.



201876

T R E Ś Ć.

	Stronica
Przypowieść	1
Fragment	3
Za późno	4
Andromachus	6
Marja Stuart	9
Ikar	11
Łzy	12
Dziewica	14
Waga	16
Korale	17
Obrazek	22
Legenda miłości	25
Profesor z miłości	27
Do towarzysza	30
Chociaż cię miłość niosła	31
Gwiazdy	32
Zapomniano	34
Recepta na zięciów	35
Dawna pieśń	37
Dokąd? Skąd?	39
Rzymska idylla	40
Z poranku	43
Wieczorem	65
Uzucie bez nazwiska	75
Urodziny „święconego“	76
Sennora	79
Z księgi przykazań	81
Skromność	83
Gniazdo	84
Sen nocy letniej	85

	Stronica
Opadłe listki	94
Prośba	95
Rebus	96
↳ Morał	98
Jeden w górze, drugi w dole	99
Wigilja	100
Balowa sukienka	105
Oj, młody!	106
Gwiazdka	107
Z muzyki	109
↳ Dante	110
↳ Jak to być może	111
Zmiany	112
Historja w życiu kobiety	113
Kwiat szczęścia	115
Dziś i jutro	119

Przypowieść.

Szedł w dumaniu pochylony
Rolnik, siejąc zboże swe,
By wydało latem plony.

Wiatr roznosił dookoła
Ziarna, cały jego skarb,
Uzbierany w pocie czoła.

Jedno padło na kamienie;
Spalił je słoneczny żar,
A ptak miał zeń pożywienie.

Los drugiego niemniej srogi:
Dziki je otoczył chwast,
Przytłumiły bujne głogi.

Trzecie w inną poszło stronę,
Na ubity ścieżki tor,
Aby zginać rozmiażdżone.

Lecz i takie było przecie,
Co na żyzny padło grunt
I w obfite wzrosło kwiecie —

I bogaty plon wydało
Tysiąckrotny bujny plon,
Co rolnika okrył chwałą...

*

*

*

Losy pieśni, losy ziarna
Jednakowy mają bieg:
Ziarno ginie i pieśń marna,

Gdy na skalne padnie łona,
Gdy w ten zimny pchnięta grób,
Nie wydawszy echa, skona.

Im potrzeba tu schroniska,
Światła, ciepła trzeba im
I opieki Bożej z bliska...

I tej czystej, jasnej strugi,
Co jednemu nieba szła,
A zaś serca ludzkie — drugiej.

Fragment.

Sam nie wiem, dokąd, byle tylko wyżej
Wciąż chciałbym lecieć za blaskami słońca,
Za tem promiennem, przeczystem obliczem;
Lecz czy mnie kiedy los do niego zbliży,
Czy dusza moja w bolach zwątpień drżąca
Nie spłonie w jego świetle tajemniczem?

Wyżej i wyżej, oto moje hasło...
Wyżej z tych szranków poziomych żywota,
Wyżej z krainy chmur, z toni mgły ciemnej...
Wyżej! Lecz ileż gwiazd na niebie zgasło,
Które ta sama pędziła tęsknota
I ten sam poryw, gorący, daremny...

O słońce marzeń, ideałów słońce,
Chmurami nie kryj mi twojego tronu,
Za którym płynę nieznanymi szlaki...
Rumieńce zorzy wiodą mnie, twe gońce,
Pod ich przewodem w falach nieboskłonu
Kąpię się senny, jak poranne ptaki...

Na mą wędrowkę próżno los się zżyma:
Żadna mnie od niej moc odwieść nie zdoła,
Dopóki widzę jasne bóstw mych twarze;
Pod ich spojrzeniem dojrzewam w olbrzymia
I w proch druzgoczę czarnego anioła,
Wołającego:

— „Wstrzymaj się... Ikarze!“

Zapóźno.

Zapóźno na świat przyszedłem,
Mam duszę z innej epoki.
Marzeń mych gwiazdy śpią dawno
W mogile wieków głębokiej.

Pod dachem sklepień gotyckich
(Ach, dawno przeszła ich era) —
Tam mi się było urodzić,
Tam było urósć w truwera.

Po krwawych zwyciężkach bojach,
Przy pełnych puharach wina,
Jak chętnie dała-by posłuch
Mej piosnce bitna drużyna.

A ja z jak szczerą ochotą
Sercem zakutym w puklerze
Bym nucił o różnych baśniach,
Którym sam dzisiaj nie wierzę!

Lub giernkiem chciałbym być także...
W jedwabne ustrojon szaty
Nosiłbym ogon królowej,
I z łąki rwał dla niej kwiaty.

Wpatrzon w jej oczy pogodne,
Siejące urok obficie,
Jednego tylko pragnąłbym:
W ofierze złożyć jej życie.

Złożyć z tą lubą nadzieją,
Że kiedyś niebo zjednoczy
Tę, co ma oczy tak cudne,
Z tym, co tak patrzył w te oczy...

Tak ciągle roję, lecz rychło
Lec mnie ze słodkich snów budzi;
Rycerzów, pięknej królowej
Naprawdę szukam wśród ludzi.

Zagaszły miłośne żary
I romantyczne uroki;
Gwiazdy mych marzeń śpią dawno
W mogile wieków głębokiej.

Andromachus.

— „Skwarny dzień! rzecze Lysip, idąc do ogrodu,
Pośród cieniów platana niech zażyję chłodu.
Andromachu! daj czarę, zmieszaj z wodą wino...
Tak... Teraz podlej kwiaty, bo od spieki zginą.
Albo nie!... Chodź odganiać odemnie much roje,
Nim snu bożek mi raczy zawrzeć oczy moje.“

Jał więc płoszyć niewolnik natrętne owady;
Lecz Lysip mówi dalej: — „Żądam twej porady.
Choć jesteś niewolnikiem, wiem, że ci nie zbywa
Na rozsądku... To przyznać, rzecz całkiem godziwa.
Radź więc, co mam uczynić, bo już świat mnie nudzi...“

Odpowie mu niewolnik: — „Panie! Szukaj — ludzi.
Zanim Febus dosięgnie wieczornego kresa,
Nie potrzeba ci będzie lampki Djogenesa.
A jeżeli odszukasz wśród tłumów. — człowieka,
Opłaci się ta droga, chociażby daleka.
Jego zapytaj panie; niewolnik twój tuszy,
Że ten znajdzie lekarstwo dla schorzałej duszy.“

Zarzuciwszy więc Lysip na siebie chlamidę,
— „Ty idź tłoczyć jagody, rzekł, ja w miasto idę.
Pomysł twój wcale niezły; jest jeszcze dość ludzi.“

Cicho szepnął Andromach: — „Nadarmo się trzudi!“

Już wieczór skry gwiazd rzucił na niebios zwierciadła,
Już i noc z czarnym płaszczem u góry zasiadła,
A Lysip nie powraca... Dopiero nad ranem
Zjawił się z licem zbladłym i okiem zaspanem.
Przed nim szło widmo nudów, a po za nim w dali
Eumenida zrodzona z nowej bakchanalji.

— „Andromachu, zawołał, źle-ś radził, zaiste!
Na Zeusa i pioruny jego klę ogniste,
Że-m próżno szukał ludzi w mieście naszym całym:
Zwierząt spotkałem dosyć, ludzi nie ujrzałem!
Aż w końcu sam zawarłszy z tym tłumem przymierze...“

— „Miało-ż, spyta niewolnik, znaleźć ludzi — zwierzę?“
— „Zuchwalcze! krzyknie Lysip, pieniąc się od złości,
Psom każę dać na strawę twe ciało i kości.
Hej, na pal z nim!“

Z uśmiechem Andromach odpowie:

— „Nieprawość synów ziemi znacie, o bogowie!
Znacie pełną zamęt i zbrodni ich duszę,
Znacie także mój spokój, kiedy umrzeć muszę.
Ja nie rzucam skarg żadnych przeciwko mej doli:
Życie dało mi więzy, śmierć mnie z nich wyzwoli.“

Zabrano go... Wnet zginie... Mara śmierci błada
Już mu o nieużytych Parkach opowiada.
A wtem Lysippus wpadnie: — „Puścić go, niech żyje!“

Zkąd zmiana, nie odgadną domysły niczyje.
Próżno wśród niewolników krążą zapytania;
Tajemniczość rzecz całą w grubą mgłę osłania.
A Lysip, co z pośpiechem do domu ucieka,
Szepcze: — „Teraz nie wątpię, znalazłem człowieka!“

Marja Stuart.

W gotyckiej sali na krzesle
Rzeźbionem bogato
Siedzi królowa...
Nie patrzy na piękną salę,
Nie bawi się drogą szatą,
Twarz w dłonie chowa.

Z jej okien widać zbóż lany,
Ciągące się w koło
Żyznymi smugi;
I słycać, jak z traw kobierca
Piosenkę grają wesołą
Srebrzyste strugi.

A ona szepcze: — „O, ziemió,
Tak w plony obfita,
Kraju kochany!
Dlaczego mi z tych niw twoich
Ból tylko srogi wykwita
I krwawe rany?

„Dlaczego jestem tak biedna,
Chociaż tak bogata,
Chociaż królowa?...“

— Nie patrzy na piękną ziemię,
Nie bawi jej droga szata,
Twarz w dłonie chowa.

- „Riccio! pójdz, zagraj na lutni
I zanuć pieśń przytem,
To mi pomoże...
Nie bój się, choć-em królowa,
Serce me nie jest granitem,
Ty wiesz to, Boże!“
- „Królowo, śpiewać? A o czym?
O ptaszku, o kwiecie,
O jasnym słońcu?
Ptak ulatuje, kwiat więdnie,
Słońce przygasa po lecie,
Aż zgaśnie w końcu.“
- „Riccio, źle bawisz twą panię!
Wesołą piosenkę
Zanuć od ucha...
Najrozgłośniejszą z mych cyter
Weź w twoją mistrzowską rękę,
Królowa słucha!“
- Wziął, lecz wnet precz ją odrzucił
I schmurzywszy czoło,
Szepnie w zadumie:
- „Na cytrze jest znak korony...
Ta cytra, Marjo, wesoło
Zagrać nie umie!“
-

Ikar.

Nad gruzami labiryntu
Nocą widać cień Dedala;
— W górze jasne gwiazdy płoną,
Dołem szumi morska fala.

— „Oh, Ikarze, drogie dziecię!
Było słuchać mej przestrogi
I nie lecieć tam człowiekiem,
Gdzie żyć mogą tylko bogi.

„I nie spajać skrzydeł woskiem,
Który wnet od słońca taje,
I pokorą zjednać sobie
Olimpijskie koryfaje.

„Ludzka dłoń niezdolna była
Pokierować końmi Feba;
Więc na ziemię spaść musiałeś
Ty, coś wtargnąć chciał do nieba.“

— Tak narzeka cień Dedala,
Morze szemrze zaś w głębinie:
— „Runie Olimp, wymrą bogi,
Lecz Ikarów ród nie zginie!“

Łzy.

I ze snu człowiek czasami
Naukę chwyta;
Ujrzałem płynące łzami
We śnie koryta.

Każdy strumyczek nad sobą
Miał napis mały,
Co mówił, jaką żalobą
Łzy się wylały.

Przy jednym, strojnym we wianki
Ktoś mi odsłania
Tabliczkę: — „To łzy kochanki.
Są do sprzedania!“

Dalej wśród żyznych zagonów
Tkwi ogłoszenie:
— „Łzy spadkobiercy milionów.
W niższej cenie!“

Przeto ku innym co prędkiej
Oczy podnoszę;
Oto: „Udanej łzy nędzy;
Kwarta — dwa grosze!“

Takich to znaków gromada
Piętrzy się wszędzie,
Zaś mnie ciekawość napada,
Gdzie kres ich będzie.

Ach, przecie! Oto z uboczy
Szmer słuch mój wita;
Tam struga, nurty swe toczy
Wśród krzewów skryta.

Aniele, coś kroki moje
Wiódł tą krainą,
Mów, czemu tylko te zdroje
Bez godła płyną?

Dlaczego — powiedz przyczynę —
Ceny im nie dasz?

* * *

— „Bo to łzy matki, jedyne
Łzy nie na sprzedaż!“

Dziewica.

W dziejach życia, w dziejach ludów
Ciągłe jedna myśl się toczy:
Do ekstazy i do cudów
Wiodą ludzkość twoje oczy...
Choć historyk z pergaminu
Innych przyczyn zmyśla mnóstwo,
Ty zapalasz żądzę czynu,
Ty — najwyższe ziemskie bóstwo.

Co tam bajki kronikarzy!
Na dziejowej każdej stronie
Został ślad twej pięknej twarzy,
Twój gorący oddech płonie.
Może inną nazwę dano,
Może rzecz właściwą skryto,
Lecz to pewne: w każde rano
Byłaś zorzą złotolită.

I to pewne: każdej nocy,
Co szła w dzieje szybkim krokiem,
Przy potężnej twej pomocy
Ustępował dzień przed zmrokiem.
Bo z dwóch źródeł twoje czyny
Płyną, czarodziejski kwiatku:
Ty, wiodąca na wyżyny,
Wiedziesz także do upadku!...

Ale na tej naszej ziemi,
Co niejedne przeszła bole,
Rozjaśniałaś wciąż czystymi
Blaski swoją aureolę.
W głębi dworów, w wiejskiej ciszy
I po dziś dzień męzkie ucho
Z czarodziejskich ust twych słyszy
Głos dźwięczący mu otuchą.

O, pozostań niezmieniona
W czarodziejskim dyjademie,
Bo wraz z wiarą wielkość skona,
Co na skroniach twoich drzemie.
Patrz: Jałowa nasza gleba
Niebiańskiego łaknie czaru:
Nam sawantek nie potrzeba,
Ni heroin budoaru.

Z postępowej wielkiej księgi
Czerp dla siebie świeże siły,
Ale dawnej strzeż potęgi,
By jej nowe nie zaćmiły...
Rodzinnego twego domu
Nie oblekaj w smętne cienie,
I nieś dalej wśród pogromu
Ciszę, słodycz, pocieszenie...

Waga.

Na niebie waga jest wielka,
A przy niej anioł na straży;
Anioł na ziemię spogląda
I ciągle waży, a waży.

Kto cię postawił tam w górze?
Co ważysz? Powiedz aniele.
— „Bóg mnie postawił, a ważę,
Komu ma przypaść łez wiele.

„Śmiechy, szyderstwa, ironią
Na jednej układam szali,
Na drugiej w urnę łzy zlewam,
Łzy, które smutni wylali...”

A gdy z szal która przeważy,
Co robisz wtedy aniele?
— „Gdy radość! to łez dokładam,
Gdy łzy, — dodaję wesele.

„Jedni zdążają przez życie
Z cierniowym wieńcem nad skronią,
Inni bez zasług, skarb szczęścia
W radości niebaczonej trwonią.

„Nie wiedzą oni, że kiedyś
Waga się w niebie przechyli
I cieszyć się będą smutni,
Smucić ci, co się cieszyli.”

Korale.

I.

Przed miesiącem umarła dziewczyna,
W najpiękniejszych dni umarła kwiecie;
Ukochane, jedyne swe dziecię
Biedna matka z łzami wciąż wspomina.

Gdy powróci wieczorem do domu,
Bezgraniczna rozpacz ją napada;
Ta niewiasta, ta siwa, ta blada
Nawet skarg swych nie ma zwierzyć komu.

Ach, a wszędzie w tej próżni i ciszy
Staje obraz umarłej przedwcześnie;
Czy na jawie śni, czy marzy we śnie,
Ciągłe córki kształt widzi, głos słyszy.

Tu się smutny w kącie kotek myje,
Jakby czekał na swą młodą panię;
Wiedną fuksje, mirty i geranje,
Nie podleją ich rączki niczyje.

Podusieczka o bieluchnem płótnie
Już nie zwabi jej główki do siebie;
Ach, na ziemi, ach, nawet na niebie
Jakże strasznie, jak dziwnie, jak smutnie.

Tylko Boga mając tu za świadka,
W dzień i w nocy ciągle płacze matka.

II.

Raz, gdy we łzach zawarła powieki,
Sen spadł na nią... Tajemnicza siła
Nagle z ziemi duszę jej chwyciła
I zaniósła gdzieś w przestwór daleki.

Patrzy: wszystko krasą oczy mami;
Słucha: śpiewy słodkie dookoła.
Czy to ptaszę z ukrycia ją woła,
Czy anioły tak nucą chórami?

Ni ptaszyna rozwodzi śpiew skrycie,
Ni anielskie dźwięczą w dali roje...
— „O, najdroższe, słodkie dziecię moje,
Więc to sen był, że skończyłaś życie?“

— „Nie, mateczko, umarłam na ziemi,
Lecz tu lepszą mi istność stworzono;
Patrz: Bóg olśnił czoło me koroną,
A ramiona skrzydłami śnieżnemi.“

— „Co tu robisz? Co to za korale,
Które zbierasz w nieustannym trudzie?“
— „My pracujem, gdy się smucą ludzie,
To, mateczko, twoje łzy, tve żale.

„Ile razy ci z oczu łza krwawa
Padnie pośród skargi lub westchnienia,
Wnet się sama w taki koral zmienia,
Biegnie z ziemi i u stóp mych stawa.

„Ach, mateczko, trud ten ciągle wzrasta,
Wciąż korale mnożą się przedemną..“
— Nagle ginie widmo za mgłą ciemną,
Wiatr powionął, budzi się niewiasta.

III.

Odtąd kota żalność już nie nęka,
Bo w zastępstwie dostał inną panię;
Fuksje, mirty i wonne geranje
Co dzień pilnie zwilża zwiędła ręka.

Poduszcзка o bieluchnem płótnie
Świeży wieniec tuli wciąż do siebie
I na ziemi i nawet na niebie
Już mniej strasznie, mniej dziwnie, mniej smutnie.

Jakby z nieba jakiś promień złoty
Wtargnął nagle w jej ściśnioną duszę,
Szepcze matka: — „Ból przełamać muszę,
Byś mniej odtąd miała do roboty.“

I spłowiiałym wzrokiem tonąc w dali,
Pyta: — „Prawda? Nie ma już koralii?“

Obrazek.

Po ciężkim sukni brokacie
Słoneczny, złoty blask spływa
I różne wyprawia dziwa:
Raz się przedzierzga w szkarłacie,
To wpada w odcień zielony,
To znów stalowo się mieni,
Aż potem rubieżą cieni
Od innej zabiegłszy strony,
Jak w jarze wężyk strumyka,
W przepaści fałdów zanika.

Lecz gdzie koronki kołnierza
Widać nad biustu krawędzią,
Objąwszy szyję łabędzią,
Na niej swą jasność rozszerza,
Jakby ucieszon, że może
Na śnieżnym spocząć przestworze,
Który swawolnie co chwila
Rozwarty gors mu odchyła.

Próżno, oddechem wypięta
Piers mu przystępu zabrania;
Spełniając straż miłowania
Próżno chce wygnać natręta.
Jasnej pogody kochanek,
Blask przyłgnał, wzmagą się, rośnie,

Wdzięczy się do niej miłośnicie,
A kiedy z po za franek
Pani swą główkę cofnęła,
Ten zdradliwego mistrz dzieła
Wnet się posuwa ku górze,
Całuje ustek jej róże,
Pada na liczek lilije,
Słodocze spojrzenia pije
I włosów jedwabne sploty
Przystraja w odcień swój złoty...

Ach, ale wszystkie te wdzięki,
Wzięte zuchwałą grabieżą,
Dzisiaj do tego należą,
Który jest panem jej ręki.
Ta ręka śliczna, a mała,
Jak z alabastru toczona,
Mówi jej ciągle: — „Ty-s żona,
Ty-s mnie na wieki oddała!“

Niegdyś w wiosenny poranek
Cudownych obrazów siła
Jej jasne oczy wabiła
Z po za tych samych franek.
Tylko że drobne rączęta,
Teraz zawarte kurczowo,
Uściskiem za każde słowo
Wcale innego natręta
Darzyły... Ona pamięta!

Mową od wzruszeń stłumioną
Pierwszy raz nazwał ją żoną.

Jak blask, co teraz tak rośnie,
Wdzięczył się do niej miłośnie.

A potem, — co za myśl pusta! —
Całował różane usta,
Całował łabędzią szyję
I liczek śnieżne lilije —
I słodycz pił ze spojrzenia...
— Boże, jak serce się zmienia!

* * *

Blask, zdradliwego mistrz dzieła,
Kończąc nareszcie igrzyska,
Ostatnią iskrę swą ciska
Na łzę, co z ocz jej spłynęła...

Legenda miłości.

Idzie miłość po tym Bożym świecie,
Chce dla siebie znaleźć pomieszkanko.

Mówi w duszy: — „Wszak mnie przyjmą przecie,
Mnie, co zwę się w ich mowie niebianką“.

Idzie — idzie — aż tu gmach olbrzymi...
— „Królu, Miłość jestem, przyjm mnie, proszę!“

Król otoczony ministrami swymi
Rzecz: — „Nie mam czasu na rozkosze!“

Idzie dalej i pałac spotyka,
Przez magnata odświeżony nowo;

Portjer broni wstępu: — „Dobrodziejka
Wprzód dać raczy kartę wizytową!“

Tajny radca, gdy ją ujrział zdala,
Zaraz krzyknął w najgorszym humorze:

— „Nie, mnie własna godność nie pozwala
Przyjąć obcej damy o tej porze!“

— „Ha rozumiem, miłość sobie myśli
Możnowładzcom szyki popsuć mogę!“

Niżsi od nich mniej są też zawiśli,
• A więc do nich wybiorę się w drogę!“

Rozpoczęła kolej od poety.
— „Panie wieszczu! Czy cię nie przelękną
Moje prośby?“ — On odrzekł: — „Niestety!
Zacna pani nie jesteś dość piękną!“

Idzie dalej... Tu mieszka uczoney;
Może właśnie on jej prośb nie zgani?
— „Zwę się miłość. Idę z obcej strony!...“
— „Co? Jak? Miłość? Czyż ja znam cię, pani?“

Łza z czarownych źrenic jej opadła.
— „Więc już nigdzie dla mnie miejsca niéma?
Więc te przez nich bujane widziadła
Złudą płoną tylko przed oczyma?“

A na niebie wschodził księżyc właśnie,
Ubierając róże w ros korony;
Słowik gwarzył czarodziejskie baśnie
Pod adresem gwiazdki rozmarzonój.

Cały świat, jak rozpieszczone dziecię,
Z po za blasków, dźwięków wdychał do niej...
— Szkoda tylko, że na całym świecie
Nikt jej nie chciał podać swojej dłoni...

Profesor z miłości.

Miał serce czułe na ideały,
Na sny różowe,
Ale miał także i błąd nie mały:
Zbyt tępą głowę.

Pokochoł dziewczę, ósmy cud świata,
Na własną zgubę;
Sroższe dla niego były od kata
Jej usta lube!

Emancypacji zgubne nasiona
Tak ją zepsuły;
Choć młoda, śmiała się jak szalona
Z miłości czulój.

Widziała siebie wyższą o głowę
Od zwykłych tłumu,
I potępiając sny romansowe,
Chciała rozumu.

— „Szczęście, mówiła, dziś się zawiera
W wiedzy głębokiej.
Pragnęła mężem mieć pioniera
Nowej epoki. |

Śmieszyl ją biedny szaleniec młody,
Co się po uszy
Zakochał, wielbiąc blask jej urody,
Cnotę jej duszy.

Więc kiedy raz się z miłością zwierzył
Na pewnym balu,
Taki weń w zamian piorun uderzył
Z jej ust koralu:

— „Nas rozdzieliło snadź przeznaczenie,
A w czym rzecz cała?
Panu-by oprócz cnót, które cenię,
Wiedza się zdała.

„Nie gardzę wcale uczuciem świętem,
Lecz dziś nie pora;
Pomówim, jeśli wrócisz z patentem
Na — profesora!“

Cóż na to amant? Ot, człek szalony!
Usłuchał rady
I badał, aby dobić się żony,
Nauk zasady.

Zdała od ludzi żyjąc jak bramin
W książkowych światach,
Szturmem nareszcie zdobył egzamin
Po — ośmiu latach.

Wrócił — i dziwnem zrządzeniem losu
W tej samej sali,
Z której brzmiał dotąd dłań dźwięk jej głosu
Znów się spotkali.

— „Pani! me lice jest ci znajomem,
Rzekł do zdziwionój.
Zwycięstwo przy mnie, wracam z dyplomem
W te miły strony.

„Wszak nie zawiedziesz mych marzeń? Wreście
Ukoisz ranę!
Katedrę greki w tem właśnie mieście
Wkrótce dostanę!“

Chciał dalej mówić, lecz mu przerwała
Śmiechu kaskada.

— „Więc pan... na serjo...? Ach, toć-to cała,
Cała ballada!

„Nie dasz pan wiary, jak rozwesela
Mnie ta nowina!
Właśnie szukałam nauczyciela
Dla — mego syna!“

Do towarzysza.

Dlaczego chwiejność ciągle tobą ciska
I rzuca duchem twym na wszystkie strony
I ciągle w nowe mięsza cię igrzyska?

Słyszysz? Stróż-aniół woła: — „O szalony!
Przed tobą, w tobie, za tobą i wszędy
Nicość i ciemność... Stój, wstrzymaj zapędy!“

Lecz ty nie zważasz na głos tej przestrogi
I w nieustannej gorączce gonitwy
Własne twe święte, opiekuńcze bogi
Zuchwałym głosem wyzywaś do bitwy.

Więc na zagładę, której sam chcesz przecie,
Mam błogosławić ciebie — towarzysza?
Czemu nie wierzysz, że szczęściem na świecie
Jest tylko miłość i wiara i cisza?

Kiedy tak prawię, znów potrząsasz głową
I gorzkim śmiechem, więcej niż słowami
Mówisz, że ciebie nic z nich nie omami.

A ponad moją wiarą legendową
Jakieś się cienie gromadzą złowieszcze...
Może w przepaści spotkasz i mnie jeszcze!



Chociaż cię miłość niosła...

Chociaż cię miłość na złotych
Skrzydłach swych niosła,
Byłaś zmęczona podróżą,
Siadłaś na osła.

Za cugle wiodłem go nakształt
Wiernego sługi...
Szedł jeden osieł pod tobą,
Przy tobie — drugi...

Gwiazdy.

Zaraz z młodu go uczono,
Do gwiazdeczek wzdychać skrycie;
Więc spoglądał, jako płoną
Nocną porą na błękicie...

Jak mrugają i jak nęcą
Śmiertelnika wzrok do siebie;
— Całą duszą pacholecą
Przylgnał do tych gwiazd na niebie.

Gdy w młodzieńcze wkroczył lata,
Baśń o gwiazdach odnowiona,
W świeży, dziwny czar bogata,
Zapukała znów do łona.

Pod rzęs dwojgiem jaśniejące
Dwie gwiazdeczki, blasku wzory,
Na młodzieńczej życia łące
Wciąż świeciły od tej pory.

Lata ciągle naprzód płyną,
Życie ma swe wymagania;
Wziął już rozbrat z mar krainą,
Za złudami nie ugania.

Lecz choć w innych myślach grzebie,
Gwiazdy wabią znów biedaka;
Tylko już nie te, co w niebie
Tylko te, co lśnią u — fraka.

A gdy i ta żądza zgasła,
Gdy zawiodły go nadzieje,
Dziś bez pragnień i bez hasła
Sam się z własnych losów śmieje.

Świat uczucia i zaszczytów
Zamknął przed nim już podwoje;
Ale jeszcze wciąż z błękitów
Świecą mu gwiazd dawnych roje.

Zapomniano.

W katedralnym widziałem ślub dzisiaj
 Kościele;
To się zowie dopiero prawdziwe
 Wesele!
Blask świec płynął złocistym strumieniem,
 Jak z słońca;
Snuł się orszak weselnej gromady
 Bez końca.
Długo wszystkie musiałbym imiona
 Wam głosić;
Zapomniano tam tylko — miłości
 Zaprosić...

Recepta na zięciów.

Prawił raz mój zięć
Na swą własną żonę
Ni w dziewięć ni w pięć
Rzeczy niestworzone.

Prawił godzin dwie,
— Piękna awanturka! —
Że się strasznie źle
Sprawuje ma córka.

Że jak istny wąż,
Przez gniew i niezgodę
Zatruwa mu wciąż
Jego życie młode.

Rzekłem w końcu: — „Dość!
Masz słuszność mój zięciu,
Choć dziwo, że złość
Nie tliła w dziewczęciu.

„Za panińskich lat
Nie zdradzała tego“
Tu on w słowo wpadł:
— „Bo panny się strzegą!“

— „Tak, przerwałem znów,
Prawda to mój panie,
Ale szkoda słów
Na wypominanie.

„Wiem i jak i co
Poradzić potrzeba,
Aby znikło zło
Z małżeńskiego nieba.

Nie troszcz się już, nie!
W zamian za gorycze
Masz tu słowo me,
Że ja — wydziedzicę!“

*

*

*

Mija kilka lat
Od tych komeraży;
Zięć mój schudł i zbladł,
Lecz się już nie skarży...

Dawna pieśń.

Z starych szpargałów dobywam pieśń
Pozółkłą i zwietrzałą;
Naprawdę plód mój poznać w niej chcę,
— Co też to z nią się stało!

Wiosenny, jasny wydał ją dzień,
Wdzięczyła się przyroda;
Śpiewały ptaki i woniał gaj,
Szemrała w dali woda.

Fiołek ukryty w gęstwinie traw,
Słał ku nam zapach miły;
— Któż winien, że w taki cudowny dzień
Czary nas zwyciężyły?

Niespostrzeżenie — wiemy-ż my: skąd? —
Miłość się tu dostała,
Niepokonana w potędze swej
Władczyni ta zuchwała.

Niespostrzeżenie — wiemy-ż my: jak? —
Spoiła usta nasze,
Kiedy-śmy razem wpatrzyli się
W lecące górą ptaszę.

Ach, a już wcale nie wiemy: czem
Związała nasze serca?
Gdy ręka w rękę, zwolna-śmy szli
Ścieżyną łąk kobierca.

* * *

Tak śpiewa dawna, przewiedła pieśń,
Z szpargałów wydobyta...
— Dlaczegoż gorzki dławi mnie śmiech,
Kiedy ją oko czyta?

Dokąd? Skąd?

Gdy wiatr zimowy powieje,
Gdy z drzewa opadnie liść,
Opuszcza bocian swe gniazdo,
Nie pyta: dokąd ma iść?

Gdy żeglarz po długiej burzy
Zstąpi nareszcie na ląd,
Każdy go wita z radością,
Lecz nikt nie pyta go: „Skąd?”

* * *

Kiedys i ciebie owionie
Pogodny wiosenny prąd,
Ale nie pytaj go: Dokąd?
Ale nie pytaj go: Skąd?

Rzymska idylla.

Gniewna w pól, w pól uśmiechnięta
Przez gaj idzie... Jak pomału!
W dole błękit wód Sorrenta,
W górze błękit nieb krzyszału.

W cieniu płąsa dryjad grono,
Kudłacz satyr gra na flecie;
— Niebo błyszczy, gwiazdy płoną,
Drży wstydliwie piękne dziecię...

Thysrus nadbiegł niespodzianie,
Gdy zwidzała wzgórz rozłogi,
A sam będąc z nią na łanie,
Skradł całusa z ust niebogi.

Więc uciekła od zbrodniarza
I strwożona — w pustym lesie
Przewinienie jego zważa,
Do nimf potem skargę niesie...

— „O wy — w sennej ciszy krzewów,
Których grzeszna myśl się boi,
Zaprzestańcie — proszę, śpiewów,
Wysłuchajcie skargi mojej.

„Mistrz zuchwalstwa i zasadzki,
Niecny chłopak, rabuś młody,
Swemi usty w świętokradzki
Sposób tknął mych ust jagody...

„Mówił, że Cyprydy technienie
I amora lotna strzała,
Na to ust mych znieważenie
Jego usta skierowała...

„Nie wiem, czy w istocie bogi
Sprowadziły go tam do mnie;
Więc przed wasze tutaj nogi
Chylę moje czoło skromnie.

„Radźcie, radźcie, co wypada
Począć w tej niezwykłej sprawie;
Jak pomszczona ma być zdrada,
Czem ja odwet mój objawię?“

Idą nimfy w ustroniu ciemną
I coś długo szepczą, gwarzą...
Chłoe trwogą drży tajemną;
Na co one chłopca skażą?...

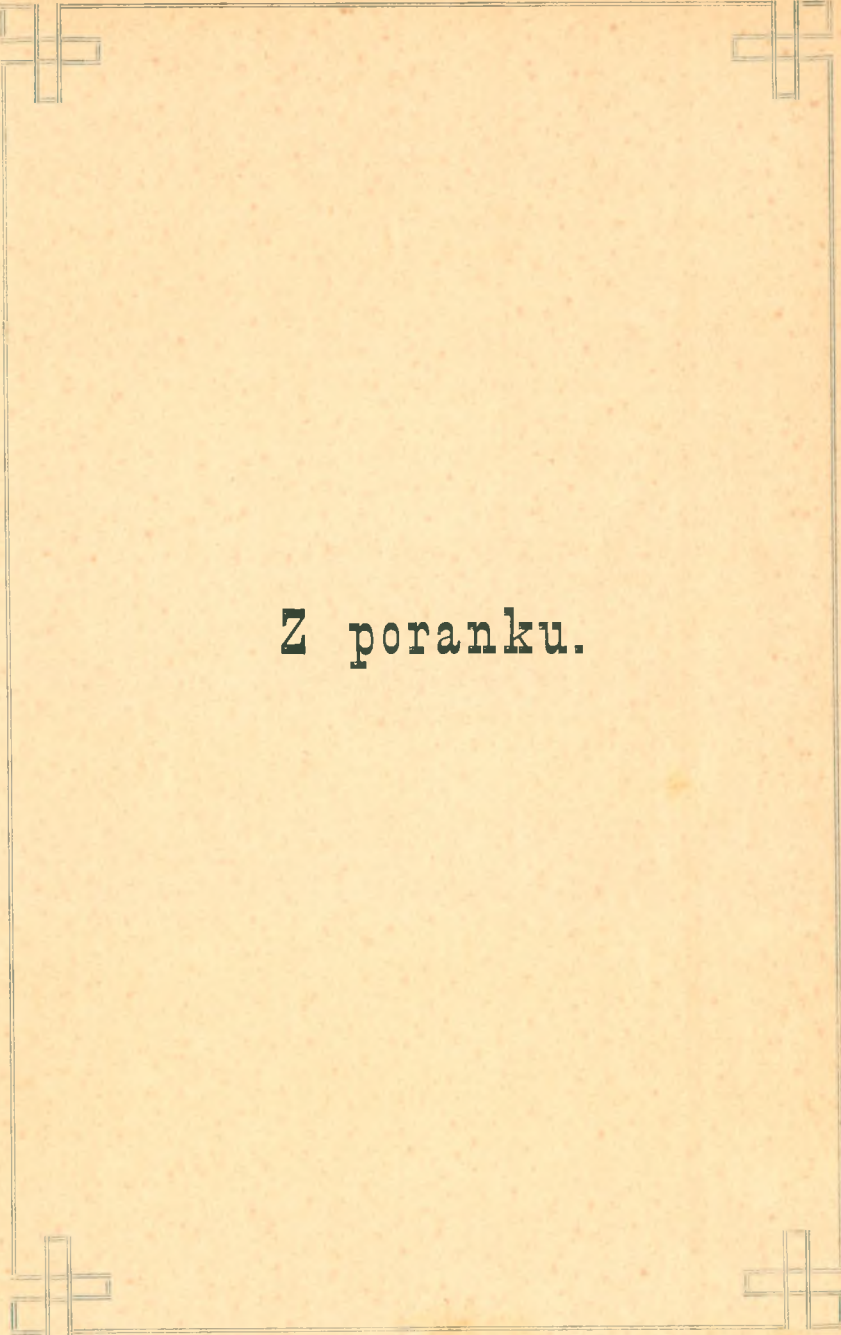
Chociaż bowiem zbyt zuchwale
Z ustek słodycz skradł dziewiczą,
Wcale piękny, miły wcale,
A dziewczęta i to liczą...

W końcu zbliża się nimf grono;
Wyrok zapadł już raz przecie...
— Niebo błyszczący, gwiazdy płoną,
Drży trwożliwie piękne dziecię.

— „Kradzież, mówią, to rzecz zdrożna,
Któż obronić jest ją w stanie,
Ale winę zmniejszyć można,
Mianowicie przez — oddanie.

„Więc my, nimfy tego gaju
Orzekamy wszystkie zgodnie,
By ci zwrócił po zwyczaju
Całus, kto tę spełnił zbrodnię.

„By na przyszłość zaś nie zbłądził,
Taki rozkaz tobie dajem:
Krzywdę, którą on ci zrządził,
Masz wyrządzić jemu wzajem.“



Z poranku.



Poranek.

...Czarna góra drzemie cicho,
Tuli ją mgła ranna;
Otulona w mgłę, wygląda,
Jak w koszulce panna.

Wiotkie jodły na jej szczycie
Falują, jak włosy;
Wiatr fryzuje je i zwilża
Kropelkami rosy.

W tem u wschodu wstaje słońce
Z złocistego łoża;
Budzi się ze słodkiej dumki
Czarna góra hoża.

I odrzuca mgły zasłonę
I nagle na twarzy
Pełen czarownego wdzięku
Rumieniec się żarzy.

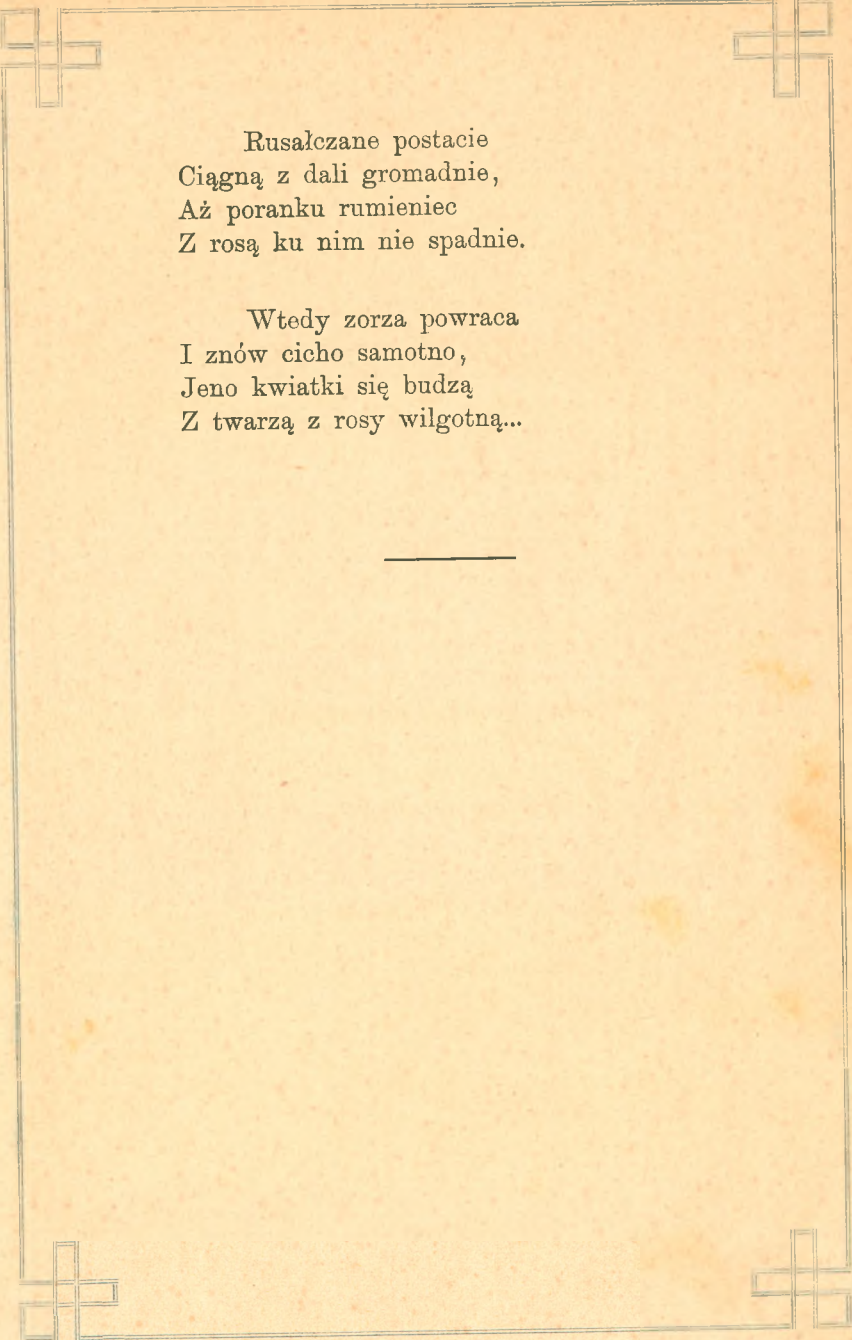
Krynica.

Znam krynice przeczystą
Pośród kwiatów na łanie;
Nad nią słońce szkarłatne,
Nad nią zorza w zaranie.

I śpiew wdzięczny ptaszęcia
I szmer srebrny strumyka
Z wonią lilij, konwalij
W lekkim tchnieniu pomyka.

A gdy nocka wypłynie
Po słonecznym zachodzie,
Promieniste swe liczko
Kąpie księżyc w tej wodzie.

Kąpie płaszczyk swój srebrny
Gwiazdeczkami przetkany
I wychodzi z kąpieli,
Aby przejść się przez łany.



Rusałczane postacie
Ciagną z dali gromadnie,
Aż poranku rumieniec
Z rosą ku nim nie spadnie.

Wtedy zorza powraca
I znów cicho samotno,
Jeno kwiatki się budzą
Z twarzą z rosy wilgotną...

Piosnka z ogródka.

I.

Uroczą cichutką
Piosneczką z ogródka
O rannej godzinie
Rozkosznie w dal płynie

I z szmeru rzeczulki,
Co doliną goni,
Z brzęku drobnej pszczołki,
Z sennej fiołków woni, —

Z błękitów, z obłoku,
Nim ranek zaświta,
Wpół światło, wpół zmroku,
Dla siebie wdzięk chwytą.

II.

Uroczą, cichutką,
Piosneczką z ogródka,
Powiewną piosenką
Puka do okienka.

Wewnątrz, w puchach łoża,
Śni dziewczę-malina;
Na jej szyjce zorza
Promyk swój rozpina.

A łabędzia szyjka
Przy warkoczów splocie
Błyszczy, jak lilijka
W słonecznej ozłocie.

III.

Uroczą, cichutką
Piosneczką z ogródka,
Słowiczymi tony
Nuci do uszpionej:

— „Otwórz jasne oczy,
Rzuć senne marzenia,
Słońce wóz swój toczy,
Noc się w dzień przemienia.

„Kwiatuszki już wstają
Na skopanej glebie
I smutnie wzdychają,
Że nie widzą ciebie.“

Narcyz.

Pierwszy dziś narcyz śnieżne kielichy
Wzniósł ponad grzędy;
Wysokie trawy spojrzeniem pychy
Szydzą z przybłądy.

Bo trzeba wiedzieć, że nawet ziola
Mają plotkarzy;
Ci już poznali z białego czoła,
O czym on marzy.

Ci już poznali, dokąd załata
Woń jego słodka:
Wabi go lilja, lilja bogata,
Pszczólek pieszczotka.

Wiesć tę im przyniósł jakiś motylek
Do usług skory,
Co korzystając z swobodnych chwilek,
Wykrył amory.

Więc szemrzą zielska: — „To miłość zdrożna,
Strzeżmy zasady!“
Słowik zaś duma, czyby nie można
Mieć ztąd ballady...

Konwalia.

Jej narodzin nie witał gaik uroczyscie...
Niczyj wzrok na nią nie padł, gdy w cieniu wzrastała;
Zbyt niepokazna była, zbyt wątła, zbyt mała,
Aby miłość rozniecić, lub wzbudzać zawiście.

Lecz czy księżyc na niebie zabłyśnie srebrzyscie,
Czy zorza się rumieni, czy twarz słońca pała,
Czy wiatr szemrze, deszczowa szaleje nawała,
Podsłuchują ich gwarę konwaliowe liście.

Wszystkie też kwiatów wonie chłoneła ukradkiem,
Czego tylko opiekun jej: głóg, bywał świadkiem;
W końcu rzekła: „Dość będzie“! — i... wydała kwiecie.

I zabłysnęło w bieli rozkwitłe łak dziecię,
Przedziwny szerząc zapach... A chór ptasząt śpiewał:
— „Patrz gaju! Kto-by tego po niej się spodziewał!“

Fiołki.

Po lasku się rozlewa
Fiołkowej pełno woni,
Pod każdym krzakiem skromny
Fiołka kwiat się chroni...

Szło tędy niegdyś dziewczę,
Cudowne dziewczę młode,
Co miało oczka jasne,
Jak błękit nieb w pogodę.

I gdzie rzuciło jeno
Oczkami błękitnemi,
Wnet skromny kwiat fiołka
Wytrysnął z łona ziemi.

Rezeda.

W ogródku ślub dziś lilji z fiołkiem,
Drużbami będą im goździki,
Drużkami lilje z jasnym czołkiem,
A zaś grajkami dwa słowiki.

I cały ogród już się stroi,
Przybiera uroczystą postać.
— Tylko rezedy szkoda mojej,
Ta biedna musi w domu zostać.

Tylko jej jednej nie proszono;
Ponoś z nią dawniej fiołek cichy..
— Półgłosem o tem gości grono
Coś szepcze z złośliwymi śmiechy.

Poziomka.

Choćby raz w życiu, choć raz jedyny,
Nędzarz, czy książę,
Zagadkę mowy kwiata, rośliny,
Sercem rozwiąże.

Bywa to, kiedy świat się uśmiecha
Samą rozkoszą,
Gdy marzeń żadne pogodne echa
Z serca nie płoszą.

Lub gdy ból taki w łonie zagości
I rozpacz taka,
Że nawet kwiaty głosem litości
Zową biedaka.

Które z tych uczuć: miłość, czy żale,
Srogiem zarzewiem
Tliły w jej piersi, — pieśń nie wie wcale,
Ani ja nie wiem.

Dość że poziomka, poziomka mała,
Która w ustroni
Pod ziół zasłoną bujnych wzrastała,
Tak rzece do niej:

— „Czyż ci już zabrał urok miłosny
Ciszę powszednią?
O, wierz mi dziewczę: to skutek wiosny...
Schowaj się przed nią.

„Do rozstawionej uroków sieci
Czas jeszcze tobie;
Patrz: niech mój przykład ciebie oświeci,
Patrz, co ja robię.

„Mogłabym piąć się w bieli bogatej
Razem z innemi,
A jednak wolę ukryć me kwiaty,
Ukryć przy ziemi.“

— „Ach, rzecz dziewczę, jak ty, zaiste,
Żyję schowana;
W niczyj nie padły wzrok wdzięki czyste
Mojego rana.

„Lecz ziemia... Tęsknie spragnionej duszy
Więcej potrzeba:
Pełniejszych wrażeń, rozkoszy dłuższej,
Na ziemi — nieba!“

— „Biedna! poziomka na to odpowie.
„Kapryśna chętko!
Los tłumi ciebie w sercu i głowie
Aż nazbyt prędko.

„Szczęściem jest, dziewczę, co zowiesz brakiem.
Miej to na względzie:
Kiedyś za ciszą, za szczęściem takim,
Żal tobie będzie!

„Lecz pomnij wówczas: Winien twarz łzawą
Skryć i nie biadać,
Kto nie chciał, mając do szczęścia prawo,
Szczęścia posiadać!“

Bławaty.

Jakże to słońce dziś pali!
Ni śladu chmur!
Wśród traw leżę, tam zaś w dali,
Na zbóż szmaragdowej fali,
Której brzegiem ciemny bór, —
Niebieskich oczu tysiące
Spoziera ciekawie,
Wszystkie senne i marzące
Na jawie...

By zbadać to ich dumanie,
Wzrok ku nim szlę;
Wtem nagle — na całym łanie
Tajemnicze słycać granie,
Tajemniczą widać mgłę.
Z mgły zaś wyrasta, jak z ziemi,
Boginek gromadka;
Wszystkie z oczyma jasnemi
Bławatka...

Czy są to czary, czy może
Łudzą mnie sny?
Jakgdyby promienne zorze,
Tak one jasność w przestworze
Ciskają z pod zasłon mgły.

Za drobne wzięwszy się ręce,
Płają z rozkoszą;
Potem swe dzieje w piosence
Tak głoszą:

— „Bez żadnej troski i bólu
Spędzamy dnie;
Rodzi nas gleba na polu
Obok zboża i kąkolu;
Siłę czerpiem w rosy łzie...
Ale nie kończy się na tem
Żywota zadanie,
Każda być kiedyś bławatem
Przestanie...

„Bo moc ta, co bławat sieje
Pośrodku zbóż,
W człowiecze płata nas dzieje,
Więc wzrok nasz potem jaśniej
Nie wzrokiem kwiatuszka już...
Więc płonie coraz goręcej
I tęskniej, szerzej,
Gdy serce w piersi dziewczęcej
Uderzy...

„O, wtedy spokój bławatka
Zrywa swą nić;
Miłości smętna zagadka
Wstaje we śnie, jak z ukradka,
By na wieki w sercu tlić...

Żądają zwrotu niebios
I nasza ta niwa;
Wszystka zabrana z niej rosa
Łzą spływa...

„Potem na ziemię się toczy
I czeka tam
Aż smętne niebieskie oczy
Po burzach życia śmierć zmroczy,
By barwę ich zwrócić nam...
Natenczas znów nad mogiłą
Anioł skrzydlaty
Wskresza cudowną swą siłą
Bławaty.“

Róża.

Akademją twój ogródek...
Prześliczna lilijka blada
Przy pomocy niezabudek
Wiedzę miłości wyklada.

Smętnie ta piękna mistrzyni
Miłośny wyklada system;
Do lekcji stanęły przy niej
Goździki z licem ognistem.

Słucha jej także korona
I kilka tłustych balsamin.
Lecz róży nie ma... O, ona
Dawno już zdała egzamin!

Laur.

Szlachetne podając z rąk ziele,
Pamiętam, jak rzekła mi matka:
— „Starannej opieki, trosk wiele
Wymaga roślina ta rzadka.

„Lecz trud się opłaca sownicie
I wzajem czem innym wzbogaca,
Gdy wzbudzi w gałązce tej życie
Troskliwość i zapał i praca.

„Nim zimna mnie ziemia pogrzebie,
Nim z sobą się kiedyś rozstaniem,
Uwieńczyć pragnęłabym ciebie
Wawrzynem, co wzrósł twem staraniem.“

Puściła korzonki nierychło
Gałązka w grunt żyzny wetknięta;
Jakgdyby w niej życie przycichło,
Liść spadał po liściu z jej pęta.

A kiedy nakoniec czar świeży
Wskrzeszoną ozdobił roślinę —
Ofiara śmiertelnej grabieży,
Przestało bić serce matczyne.

Rzuciłem więc smutne pustkowie,
Gdzie szczęścia nie odtąd nie zbudzi,
I z mnóstwem trosk różnych na głowie
Do obcych musiałem iść ludzi.

Zabrałem laur matki ze sobą
Na ciemne i ciasne podstrysze,
By skrywszy się z moją żalobą,
Rozpocząć tam życie wieść mnisze.

Lecz z pierwszej rozbudzon rozpaczy,
Poznałem wnet, czego potrzeba,
Poznałem raz pierwszy, co znaczy,
Zdobyty mozolnie kęs chleba.

Bez marzeń, bez pragnień, bez szalu,
Mijały mi chwile sieroce;
Do celu zdążałem pomału,
Pracując dnie całe i noce.

I poszła gałązka wawrzynu
W niepamięć przez walki powszednie —
I nie miał kto rzec mi: — „O, synu,
Dlaczego ten laur twój tak blednie?“

A kiedy cel wreszcie był blisko,
Gdym rzucać podstrysze miał moje,
By zmienić to ciemne schronisko
Na jasne, przestronne pokoje —

Laur biorąc, spostrzegłem, że ziele
Straciło życiową moc całą...
Ach, ono przez dni już tak wiele
Wilgoci, ni światła nie znało!

Przez długi czas złudna otucha
Szeptala, gdym dumał trwożliwie —
Że wskrześnie roślina ta sucha,
Że znów ją rozbudzę, odżywię...

Lecz szkielet, choć słońca pieszczoty
Ożywcze dawały mu ciepło,
Uraża się z mojej tęsknoty
Łodygą na wieki już skrzepłą.

I nie wiem, czy zmarniał ów pączek,
Że pieczy doznawał zbyt małej,
Czy przeto, że nie ma już rączek,
Co czoło me ubrać nim chciały?



Wieczorem.



I.

Wieczorną ciszę przerywa
Echo piosenki dalekiej;
Faluje z wietrzykiem niwa,
Słysząc szmer gaju, gwar rzeki.

Ziemi kryjącej się skromnie
Szlą puch obłoków anieli;
Jeden z nich spłynął tu do mnie
I siedzi w promiennej bieli.

Więc smucą się towarzysze
Pozostawieni tam — w górze;
Udając, że ich nie słyszę,
Do bukiecika rwę różę.

II.

Cudowna rusalka
Rzuca gaj zaklęty;
Na skroniach jej błyszczą
Zórz wielkie djamenty.

Z konwalij ma suknię,
Z jaśminów płaszcz długi,
Na welon zabrała
Kawał mgły z nad strugi.

A kiedy o świcie
Powiodę oczyma,
Widzę mgłę i kwiaty,
Lecz rusalki — nie ma...

III.

— „Lilia zawój rozchyła bogaty,
W górze gwiazdy lubują się ciszą...
Chodźmy, chodźmy!... Zobaczą nas kwiaty,
Chodźmy, chodźmy!... Gwiazdy nas usłyszą.“

— „Zostań dziecie! Nie bój się badyli
I tych światel, co płoną na niebie.
Wszak nie zechce wydać lilia — lilii,
Ani gwiazda, twoja siostra — ciebie..“

IV.

A więc znów
 Miłość nas jednoczy;
Po co słów?
 — Mówią twoje oczy...

Kwiaty drżą...
 Czy je trwoga mami?
Rosy lżą
 Płaczą... Czy nad nami?

V.

Sentymentalizm wziął górę we mnie,
Więc też się nie dziw, jeśli ci prawię
O dziwnych rzeczach, których na jawie
Szukać-by było daremnie.

Ani się nie śmieję, gdy rubinowe
Wieczornej zorzy odblaski śledzę,
Kiedy chcę zbadać błękitów wiedzę,
Podслуchać mgławic rozmowę...

Bo wszędzie staje mi przed oczyma
W ich kształtach, barwach, dźwiękach i szmerze
Odzwierciedlone nasze przymierze,
Przy którym miłość straż trzyma...

VI.

Ciemność cienie ciche ciska,
Wonią wiosny wietrzyk wionie,
Gwarzą, gwarzą gwiazd ogniska,
Drzemią, drzemią drżące drzewa,
Błędym blaskiem błyszczą błonie,
Smętnie słowik śpiący śpiewa.

* * *

Dziś już rzec dokładnie mogę,
Kto dziwami władnie temi:
Czarodziejską wznoszą drogę
Bóg — na niebie, ty — na ziemi.

VII.

Byliśmy sami... Sami?
O, był ktoś jeszcze z nami!
Wszak wiesz...

Nie mówiąc nic nikomu,
Zawitał pokryjomu —
Wszak wiesz...

Nasz gość, frant zbyt zuchwały,
Miał sajdak, łuk, dwie strzały...
Wszak wiesz...

Znikł potem, lecz zostały
Wśród dwojga serc dwie strzały...
Wszak wiesz...

VIII.

Oto znów jeden dzionek ukończony,
Z kajetu życia znowu jedna karta
Przeszłości ręką potężną wydarta
W nieznane poleci strony...

Mnóstwo literek na jej tle spoczywa
Związanych losem samowolnie w zgłoski:
Radość ze smutkiem i rozkosz i troski
Wysnute z uczuć przedziwa...

Może od zguby przecie los uchroni
Tę dwóch serc piosnkę skrytą w jednej karcie.
Może ją anioł na niebiosów warcie
Stojący, chwyci do dłoni.

Potem oczyma przeglądnie jasnemi
I wyda wyrok, że kartkę potrzeba
Złożyć do aktów, do archiwum nieba,
By — nie spłowiła na ziemi.

Uczucie bez nazwiska.

Oto wstają dawne cienie,
Przeszłość zda się znów być bliska;
Znów mnie wprawia w odurzenie
To uczucie bez nazwiska.

Znów na chmurną moją duszę
Cały pęk promieni ciska,
Wznawia rozkosz i katusze
To uczucie bez nazwiska.

Próżno pytam, z kąd mi ono
Tak potężnem światłem błyska,
Czy nie złudą znów szaloną
To uczucie bez nazwiska?

Wszelka walka nadaremna,
Twardy opór w niwec pryska;
Jak z dzieciakiem igra ze mną
To uczucie bez nazwiska.

Jak gladiator pokonany
Padam, krwawy łup igrzyska...
Czy zabiżni moje rany
To uczucie bez nazwiska?

Urodziny „święconego“.

To z pokoju do kuchni,
To znów z kuchni do sali
Każdy biega i krzyczy,
Rzekłbyś, że się gdzieś pali.

To z pokoju do kuchni,
To znów z kuchni na ganek:
— „A czy Kaśka już przyszła?...“
— „A czy wrócił już Janek?...“

— „A czy przyniósł kto ziela,
Aby uwić koronę?...“

— „A czy placki gotowe?...“
— „A czy baby włożone?...“

— „A jak szynka, czy pachnie?...“

— „A nie trzeba ci wina?“

Nie ma końca pytaniom,
Choć je każdy poczyna.

Niestrudzona gosposia,
Jak na węglach się zwija...
— Nuże co się nie uda!
Wina będzie w tem czyja?

Nuże baba wyskoczy,
Nuż mazurki się spalą!
— I gwałtownie uderza
Krew do serca jej falą.

I ślubuje dwa piątki
Pościć całkiem „na sucho“,
Byle szynka z kociołka
Wyszła wonną i kruchą.

I ślubuje, że na mszę
Dar dla Bożej da chwały,
Byle tylko się ciastka,
Byle placki udały.

A tu, jakby na przekór
Każdy ciągle się szasta:
— „Mężu nie wchodź... Na Boga!
Paska właśnie wyrasta!“

— „Mieciu, zostań w pokoju,
Mów przez dziurkę od klucza...“
— „Mamo, kiedy mnie tutaj
Wciąż Bronika dokucza!...“

— „Mamo, woła znów Bronia,
Niech on bić mnie przestanie!“
— „Nie otwieraj... ach... baba...
A to Boże skaranie!“

I raz jeszcze niebiosom
Los pieczywa poleca.
— „Kasiu, może już dosyć?
Popatrz Kasiu do pieca!“

Tłumi oddech w swej głębi
Piersź jej trwogą ściśnięta:
— Nuże baba spalona!
Piękne byłyby święta!

Jakby losy Europy
Się ważyły w tej chwili,
Czeka Kasi wyroku
Z twarzą bledszą od lilji.

— „A co?“ — „Śliczne!“ — „Doprawdy?“
Patrzy... — „Mężu! Dzieciaki!..
Prędko... Chodźcie... Ach, Boże,
Co za kolor! Wzrost jaki!

„Patrzcie, co to za baba!
Jak wyrosła, jak świeci!..
Ach, mój mężu kochany!
Dajcie buzi me dzieci!“

Sennora.

I.

Zatopiony w rozmyślaniu
Za kolumną skryty stoję;
Rozprószyły mi modlitwę
Te cudowne oczy twoje.

O, sennoro, po cóż w usta
Wkładać zimne słów pacierze?
Odkąd w oczy tve spojrzalem,
Znowu kocham, znowu wierzę.

II.

Ten sam kościół i rozmyślań
Mych to same znowu tema,
Ale w Bożym tym kościele
Ciebie, o sennoro, nie ma.

Przed ołtarzem świec woskowych
Pełne blasku ognie gorą,
Ale braknie już u stóp ich
Twoich oczu, o sennoro.

Cyt, głos słyszę tych aniołków,
Co pod stropem smutnie gwarzą:
— „Gdzie podziało się to dziewczę,
Smutne dziewczę z smutną twarzą?”

Z księgi przykazań.

Nie chcesz poznać się z tęsknotą?
Więc omijaj sfinksów postać
I nie pytaj nigdy o to,
Co zakrytem ma pozostać.

Nie żal się na kwiatów losy,
Nie dziw się, dlaczego jesień
Śmiercią darzy łąk pokosy
I zamraża czas uniesień.

Nie goń gwiazdy, jeśli spada
W niezgłębionych sfer przestworze
I nie pytaj, czemu błada
Jedna twarz, gdy inne hoże?

I nie pytaj, czemu życie
Sen rozkoszy nędzą kala,
Czemu w jasnych dni rozkwicie
Wschodzi gorzki los Tantala?

I dlaczego wciąż na straży
Naszych myśli noc spoczywa,
Co zagadek ciężar waży,
Lecz ich nigdy nie odkrywa.

I nie pytaj, jaką miarą
Sprawiedliwość dary dzieli,
I czy wieczność nie jest marą,
I czy jest duch w ciałach celi?

Bo nie zedrzesz tej zasłony
Skrrywającej twarz sfinksową,
— Los jest wrogi, a szalony,
Kto chce zbadać jego słowo.

Lecz jeżeli myśl twą codzien
Enigmatów tajnia nęci,
To idź! — Świętszy taki zbrodzień,
Niż bezduszni święci!

Skromność.

Skromność jest tylko słabych udziałem,
Bezwonnym kwiatem, niwą bezpłodną,
Wyśnioną marą, dzieckiem ospałym,
Któremu zawsze głodno i chłodno.

Chwiejną swą ręką nie uszczknie ono
Kwiatów błyszczących na życia niwie,
I chociaż ciosom nadstawi łono,
Nie zdoła celów dosięgnąć szczęśliwie.

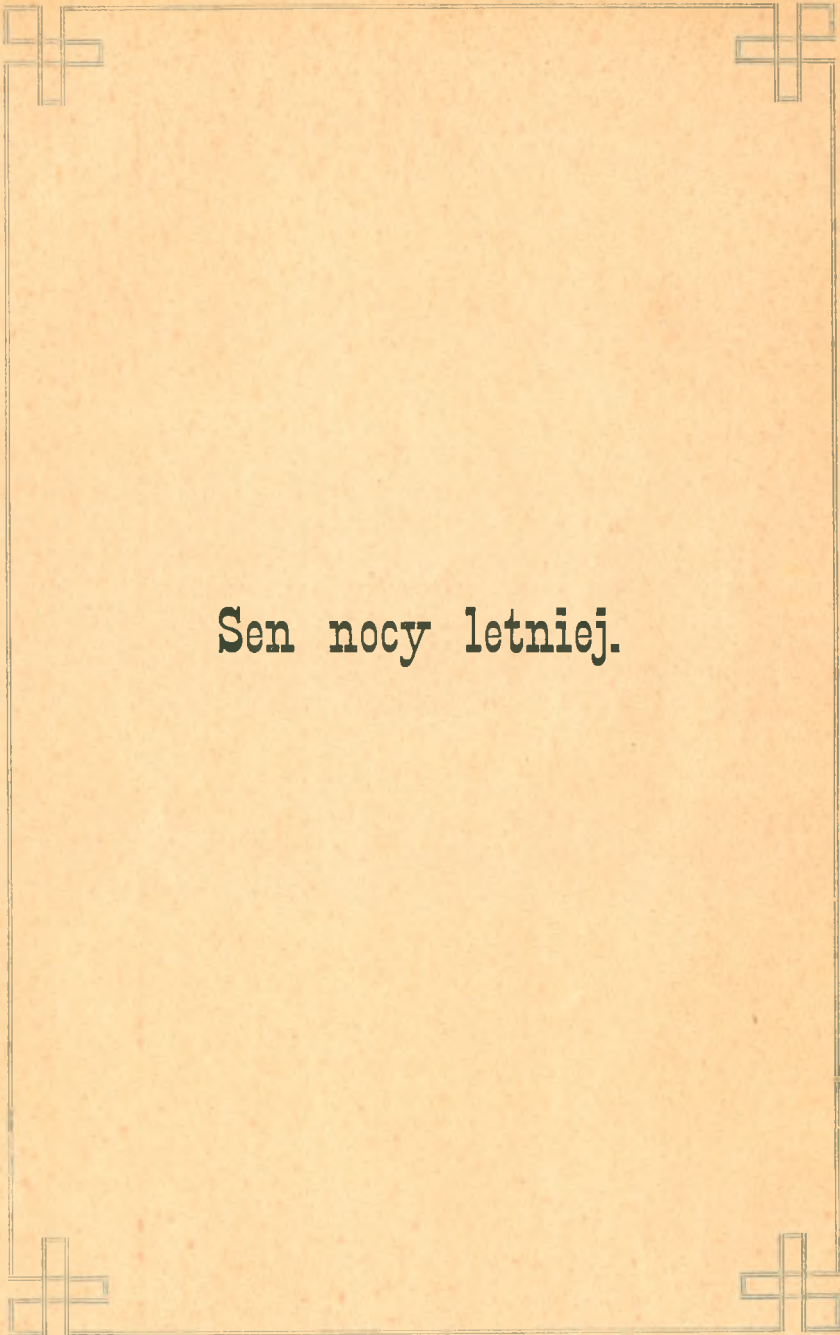
Kiedy zuchwalstwo przemocą złamie
Twarde zapory gniewu, niechęci,
Skruszone w boju skromności ramię
Upadkiem tryumf jego uświęci.

I kiedy łaski losów bogate
Oplotą skronie zuchwalstwa harde,
Skromność otrzyma jako zapłatę
Politowanie — szyderstwo — wzgardę.

Gniazdo.

Gniazdeczko znalezione w lesie
Do domu z sobą zabrać chciałem,
Lecz krzyk rozpaczy z dwojga dzióbków
Zachwiał pragnieniem mem zuchwałem.

O, nie odemnie, lube ptaszki,
Od innych niech was losy strzegą!
— Kto własne gniazdo sam postradał,
Ten nie potrafi tknąć cudzego.



Sen nocy letniej.



I.

Płynie nocka czarodziejska,
Skromna, jak dziewczyna;
Aby sukni wiatr nie rozwał,
Księżycem ją spina.

Od zalotnych figłów stroniąc,
Wstydliva, by łania,
Mleczną drogą, jak wachlarzem
Oczy swe zasłania.

II.

Spiesz się, już wszystko cię czeka
Na łące, w ogrodzie, w lesie;
Zorza zebrane z daleka
Korale niesie.

Słysząc głos świerszcza co chwila,
Zachodni wietrzyk mu wtórzy;
Konik się ćwierkiem przymila
Do polnej róży.

Kwiaty pytają w pół senne,
Kiedy im zawrzesz powieki...
Tymczasem rosy promienne
Chłodzą żar spieki.

— I ja, jak kwiaty spalone,
Pragnę cię, wonna ty nocy!
Lecz zgasić żar, którym płonę,
Jest-że w twojej mocy?

III.

W górze błękitów i światel struga
O, jak urocze niebios kryształ!

Oto w mgieł srebrnych szacie wspaniałej
Wyływa księżyc i do mnie mruga.

Czyś ty wyczytał tęsknotę duszy,
Która z twym blaskiem do nas przychodzi?

W dźwięków powodzi, w światel powodzi,
Kogóż twarz twoja blada nie wzruszy?

Ona mnie wiodła w marzeń krainę,
Wciąż wyżej wabiąc z poziomów życia,

Aż oto teraz bliski rozbicia
W otchłani pragnień, jak Tantal ginę.

Nademną niebios uroki drzemią,
Podemną ziemia cicho się korzy;

Jak drżące blaski wieczornej zorzy
Wiszę pomiędzy niebem a ziemią.

Jedna i drugie z pod nóg ucieka,
Ni to ułudne czarów zjawiska,

I choć mi niebo i ziemia bliska,
Niebo — dalekie, ziemia — daleka.

IV.

W nieba bram Anioł-Stróż
Czuwa nad nami,
Gdy błądząc tu pośród róż,
Chodzimy — sami.

I nie boimy się zrad,
Kolców, ni cierni;
Tak cichy ten cały świat,
A my tak — wierni.

Czyż jeszcze czujniejszej nam
Opieki trzeba?
Anioł-Stróż stoi u bram
Naszego nieba.

V.

Słyszysz? Płynie pieśń słowika...
Widzisz? Gwiazdy płoną...
— Słyszysz? Płynie pieśń słowika
I w noc cichą rozmarzoną
Nut perłami wnika.

Słyszysz? Serce moje bije...
Widzisz? skroń mi pała...
— Słyszysz? Serce moje bije,
Słonią sobie skroń lilije...
Och, ty liljo biała!...

VI.

Byłaś piękna — to za mało!
Byłaś dobra — to za wiele!
Ja wdychałem — to za trwoźnie!
Całowałem — to za śmieie!

Odważyłem się bezboźnie
Rzec ci: „Bóstwo me, aniele!“
I wdychałem — to za trwoźnie!
Całowałem — to za śmieie!

Karcąc mowę mą zuchwałą,
Ty szeptałaś, jak w kościele...
— Byłaś piękna — to za mało!
Byłaś dobra — to za wiele!

VII.

Dookoła cisza głucha...
A z twych okien dźwięczą tony;
Księżyc stanął rozmarzony,
Stanął, дума, patrzy, słucha...

Obok niego gwiazd gromada
Przysłuchuje się muzyce;
Zwilża łza ich drobne lice
I na ziemię rosą spada...

Opadłe listki.

Żal mi nadzieji, co znikły,
Niby uludne zjawiska,
Jak żal mi listków opadłych,
Które po drodze wiatr ciska.

Już nigdy wietrzyk wiosniany
Smutnej ich doli nie zmieni;
Słowa zwątpienia im niesie
Ponury wichur jesieni.

Już nie ożywi ich nigdy
W maju srebrząca się rosa;
Perłami szronu im piszą
Wyrok zagłady niebios.

A one szepczą i płaczą:
— „Biada nam zżółkłym, o, biada!
Najniezszczęśliwszy z nieszczęsnych,
Kto bez otuchy upada!”

Szemerzą i wciąż ich przybywa,
Wiatr toczy całe ich rzeki;
Cały ocean wygnanych
Z rajów marzenia na wieki.

Prośba.

Kiedy zgaśnie słońca blask
Przed memi oczyma,
Kiedy śmierć powali mnie,
Jako kwiaty zima —

Kiedy czarne, głuche „Nie“
Otoczy mię w koło,
Nie kładź, nie kładź wtedy rąk
Na zastygłe czoło.

Niechaj cicho leży trup,
W żałobnej pościeli,
Niech nie czuwa przy nim nikt,
Nikt — chyba anieli.

Pójdź w dal z łzami, z żalem swym
Od martwego ciała:
Drugi raz przeszedłbym śmierć,
Słyszając, żeś płakała.

Rebus.

Życie człowieka, jak misterny rebus
Z różnych obrazków w jeden sens się składa;
Nikt nie rozwiązał go, choć każdy bada...

Na pozór wszystko jest w nim dla nas jasne,
Wszystkie symbole, wszystkie znaki znamy
I tylko trudno ująć całość w ramy.

Wśród czystych puchów dziecięcej kolebki
Kryje się, niby wśród osłony złotój
Zaród wielkości, lub zaród nędzoty.

Rozpoznajemy też dalej wyraźnie
Płomienne błyski młodocianej chwili,
Jak żar gorące, czyste, jak kwiat lilji.

Widzim na lodzie budowane zamki
Uczuć, co w żadną nie ubrane mowę
Są jak świat dawne, jak świat wiecznie nowe.

Tu znów wykwita dziki chwast goryczy,
Z rozczarowania rosnący, z zawodu...
Każdy śmiertelny poznał go za młodu.

Po snach upojeń i po burzach uczuć
Czyn dźwiga w górę sztandary bojowe,
Nad serc boleścią dumnie wznosząc głowę.

Żelazną nogą śmiało naprzód kroczy,
Ani się lęka przeciwnych kolei,
Olśniony blaskiem potężnej idei.

Dopiero wielki kosarz ziemskich losów,
Śmierć nagle sztandar wyrywa mu z dłoni,
A żaden Bóg go od niej nie uchroni.

Gdzież nie łącząca wszystkie te ogniwa,
Tak ułożone mądrze i wspaniale:
Te upojenia, te walki, te żale?

Próżno jej szukać, bo choć znamy rebus,
Lecz syzyfową byłoby nam pracą,
Dochodzić: z kąd to wszystko, albo: na co?

Morał.

Świeci gwiazd jasnych rój na lazurze,
Patrząc ku ziemi miłośnie,
I chociaż dołem szaleją burze,
Płomień ich rośnie i rośnie.

O serce, odkryć ci już potrzeba
Morał, co w baśni tej drzemie:
Ażeby niebem stały się nieba,
Pokochać należy ziemię...

Jeden w górze, drugi w dole.

Siła mimo wszech hipotez
Siłą jest i słusznie zgniatą
Twardą prasą miękkie woski
Na powierzchni dziejów świata.
Pocóż wznawiać zatem złudną
Paradoksów aureolę?
— Jeśli musi być ktoś w górze,
Musi także być ktoś w dole.

Nie narzekaj na brutalność,
Nie krzycz dziecka głosem: biada!
Cóż dziwnego, że moc wznosi,
Że bezsilność sama spada?
Cóż dziwnego, że gdy w walce
Zwyciężyły ciebie bole,
Musisz widzieć innych w górze,
Musisz widzieć siebie w dole?

Wigilja.

Już błysła pierwsza gwiazdka na niebios przeźroczy,
Jasnym ciesząc promieniem niecierpliwe oczy.

Błysły światła. Pod białą obrusu oponą
Na rozciągniętym stole siano wyścielono.
W kącie izby snop złotej pszenicy spoczywa:
Stokrotne on sprowadzi plony w czasie żniwa.
Odwieczny zwyczaj przodków tę pewnośc nam daje,
A nie zawodzi wiara i dawne zwyczajaje.

Wkrótce cała rodzina i liczna czeladka
Gromadzi się poważnie około opłatka
I ile tylko życzeń szczerych serce mieści
W nieobfitej we słowa wypowiada treści.
Z każdego tam wyrazu uczucie wytryska...
O, kto choćby raz w życiu zasiadł u ogniska,
Gdzie światowej obłudy nie padły nasiona,
Gdzie przyjaźni nie głuszy nienawiść tajona,
Gdzie miłość i serdeczność wszystkie serca splata,
Gdzie każdy w drugim widzi tylko swego brata:
Z jakże słodkiem uczuciem nieraz w gorzkiej chwili
Tem zboleiał wspomnieniem serce swe posili!

Skończono już życzenia, czas począć wieczerzę.
Dymią się pełne barszczu posnego talerze,

A barszcz czysty, jak kryształ, a w nim całą zgrają
Smaczne uszka, jak łodzie po morzu pływają.
Po całodziennym poście chęć do jadła skora:
Potrawa po potrawie znika, znika, jak kamfora.
W białej polewce szczupak zawitał na stole,
Lecz niedługo się błąkał, w biesiadniczem kole
Zginał; wnet lin smażony jego los podziela,
Zdążając za straconym śladem przyjaciela.
Zanurzony we falach miodowego sosu
Niedługo i karp czekał podobnego losu.
Myślał, że pływające, jak straż koło niego
Rozenki i migdały może go ustrzegą.
Srodze jednak się zawiódł. Sprzymierzeńcze siły
Tem baczniejszą uwagę wroga nań zwróciły.
Rzucają się widelce zażarte, jak harpie:
Nic cię już nie ustrzeże miodopłynny karpie!
Nic was już nie ustrzeże, gołąbki, pierogi:
Nad wszystkim dziś zawisnął ten sam los złowrogi;
Nawet torty, kucharskiej sztuki arcydzieła,
Nieskromiona zajadłość do krzty pochłonęła.
Nakoniec, choć już wszyscy znużeni sowiecie,
Jeszcze jedno do stołu podano nakrycie.
Nikt się temu nie dziwił. Rzadka to potrawa.
Raz ją tylko w rok, w wilją, na stół się podawa.
Jej widok wnet poruszył jedzących uczucia
I rozległ się wesóły w koło okrzyk: „Kucia!“
Rozległ się — potem zwolna cichnął, jak szmer fali...
Dano znak i wnet wszyscy od stołu powstali.

Tymczasem roztworzono na oścież podwoje.
Nowe dziwo: Błysnęły jasne światła zdroje,
Cmiał zadziwione oczy. Z drugiej izby, z wnętrza

Coś, jakby piramida ognista się wspiętrza.
Tysiąc świeczek jaśnieje na tej piramidzie,
Z radośnym krzykiem dziatwa szybko ku niej idzie.
Nie łatwoby poskromić żywą tę uciechę:
To anioł Boże drzewko przyniósł im pod strzechę.
Na gałązkach choiny zwisają dokoła
Nęcące smak i oko podarki anioła.
Tu zabawki, tam figi, ówdzie rożek wielki,
Dalej jabłko złocone i słodkie karmelki,
A wszystko takie piękne, wszystkiego tak wiele!..
— „O jaki ty poczciwy, krzyczą, nasz aniele!“



Czemuż znikli tak nagle? Strachem lśnią ich oczy;
Orszak dziwnych postaci do izby się tłoczy.
By zadrzeć, dość popatrzeć na ten tłum pstrokaty:
Poważne ich spojrzenia i niezwykle szaty.
Jak zwierz, gdy niespodzianie myśliwca obaczy
Uciekają do matki dzieciaki w rozpacz.
Próżno je uśmiechnięta tuli i pociesza:
Długo trwozę w nich budzi kolendników rzesza...

Ustawia się wśród tego przybyszów gromada
I głębokim ukłonem pozdrowienie składa.
Jeden z nich, najśmielszego — widać — w nim uznano,
Starzec na pół zgarbiony, z brodą konopianą,
W wymownych słowach wszystkim jasny dowód daje,
Że on Herod, co judzkie ma pod sobą kraje.
Trzej jego towarzysze, czarniejsi niż smoła,
W papierowe korouy strojne mają czoła.
To trzej królowie wschodu, z nimi ich rycerze,
W kącie z pokorną miną czekają pasterze.

I wnet pieśń się rozlega, o dziecinie małej,
Co w stajence ubogiej leży pełna chwały.
Stajenka ubożuchna; na przegniłem sianie
Odpoczywa król królów. Ciche jego łkanie
Utula święta matka, a nad drobnem czołem,
By je ogrzać, chuchają wół i osieł społem.
Dopiero śpiew aniołów ostrzega pasterzy,
Że syn Boży w stajence bez opieki leży.
Przybiegają też zaraz i przynoszą dary:
Wojtek koziołka, Jacek pszenicy dwie miary;
Szymon sera oselkę, Stach połec słoniny:
Słowem, na co stać tylko tak biedne chudziny.
Lecz nie koniec na darach. Padłszy na kolana
Śpiewają, by zabawić swego Stwórcę, Pana,
Co wita ich z radością i słucha bez gniewu;
Fujarki i multanki wtórują do śpiewu.

Nie wiadomo, jak długo byliby śpiewali,
Gdyby im stary Józef, stojący w oddali
Nie dał znaku, że czas już ukończyć te pienia,
Bo pan dziedzic dobrodziej usnął od znużenia.

Piękna była kolenda, więc i hojne dary:
Pomimo, że okrucieństw popełnił bez miary,
Dostał król Herod strudę i srebrniaka w darze.
Toż samo i trzech wielcy ze Wschodu mocarze.
O rycerzach, pastuszkach, także pamiętano:
Odeszli, każdy z torbą nieszpętnie napchaną.
Wraca dziatwa do drzewka, a do wina starzy
I długo jeszcze wszystko bawi się i gwarzy,
Aż o północy dzwonek z bliskiego kościoła
Na „pasterkę“ i młodych i starych powoła.



A na niebie tak jasno! Tysiące gwiazd pała;
Do modlitwy przyroda układa się cała
I hołd oddaje Stwórcy w uroczystej ciszy...
Zda się, że ucho pienie aniołów posłyszysz,
Co płynąc po niebiesiach w światła aureoli,
Niosą wróżbę pokoju ludziom dobrej woli.

Balowa sukienka.

Słicznie ci było do twarzy
W jasnej balowej sukience;
Całą potęgą jaśniały
Twoje uroki dziewczęce.
Byłaś, jak pączek różyczki,
Co rankiem w maju rozkwita:
Powiewna, jasna, urocza,
Mgłą czarującą okryta.

I zapomniałem o świecie,
O tem, co było i będzie —
I zdało mi się, że musi
Zostać tak zawsze i wszędzie.
Że nigdy iskra nie zgaśnie,
Co mi błysnęła w twem oku,
Ni żar, chwycony z twem tchnieniem
W zaklętym kole uroku.

A jednak szal ten rozkoszny,
Ledwie tak krótką trwał chwilę!
Dziś tylko wspomnienia echo
Na jego dźwięczy mogile.
I tylko biedny amorek
Zasmucon łamie rączęta
Nad tą sukienką balową,
Co leży — w szafie — pomięta.

Oj, młody!

Mysłał, że jasny ścieg żywota
Kwiatami ślady mu wyściele,
Że nigdy rozpacz, ni tęsknota
Nie złoży jego snów w popiele.
Że chwały laur, co tylko krwawą
Ofiarą serca się zdobywa,
Bez walki odda mu swe prawo
I bujny plon złotego żniwa...
Że wśród orszaku tych, co giną
Nieznani w życiu i po zgonie
On z swoją zadumaną miną
We falach Lety nie utonie...

* *

*

A świat, ten zimny tetryk stary
Z uśmiechem patrzył na szaleńca,
Co miał ze sobą tylko mary
I tylko chęć zdobycia wieńca.
I gdy mu skrzydła wnet opadły,
Niezdolne z losem iść w zawody,
Świat, z twarzy śmiejąc się pobludłej,
Nad uchem krzyknął mu: — „Oj, młody!”

Gwiazdka.

Świeciła chwilkę na niebie
W niedoścignionym swym locie,
Lecz była wtedy jaśniejsza,
Niż wszystkich słońce i gwiazd krocie.

I zadziwiona pytała:
— „Zkąd jestem nagle tak jasną,
Że wszystkie moje siostrzyce
Przy mnie blednieją i gasną?

„Zaledwie chwilę istnieję,
Sama nie wiedząc zaiste,
Kto mnie powołał do życia,
Kto w blaski ubrał ogniste.

„Tak czyste nademną niebo,
Taki w niem spokój głęboki;
Oddecham piersią tak pełną,
Doprawdy same uroki!“

— A wtem spojrzała na ziemię
I powstrzymała się w pędzie;
Na niebie wszędzie tak cicho,
A tam tak krwawy bój wszędzie.

Widziała smutną niedolę
I łzy widziała rozpaczy,
Które prócz Boga jednego,
Chyba z nieb gwiazdka obaczy.

Po marzeń różanych splotach,
Po snów tkaninie zwodniczej,
Widziała pnące się w górę
Widmo zwątpienia, goryczy.

I potarganych serc bole
I prometejskie tortury
I tantalową żądz otchłań —
Wszystko widziała to z góry.

A kiedy wzrokiem objęła
Grozę straszego widziadła,
Ból ją ogarnął — i nagle
Pękło jój serce i... spadła.

Z muzyki.

Życie, powiadasz, to nędza sama!
Gnębi cię tylko i boli;
Jak chromatyczna w muzyce gama
Pełno ma krzyżów i moli.

Dłoń dyletanta może się lęka
Tych powiązanych pasaży,
Lecz wirtuoza wprawiona ręka
Tylko o takich wciąż marzy.

W żalach i skargach nie pójdzie z tobą,
Kto czar tej pieśni ocenia,
Bo to, co ciebie nęka żalobą,
Tworzy melodję istnienia.

Dante.

Po siedmiu kręgach piekła rozmaicie
Pokutna kara gnębi ludzkie duchy,
A z nikąd promyk wiary, ni otuchy
W pozagrobowe nie chce wtargnąć życie.

Czy w pieśni twojej prawda jest, czy śnicie,
Czy pomieszane obojga okruczy?
Już nieraz badał to krytycyzm suchy,
Ryjąc twe imię na sławy granicie.

Wiem: obraz piekła dali ci współczesni,
Wiem: żal wyrzucił twoich słów pociski,
Gdy nad ludzkością bolałeś opadłą...

Ale i dzisiaj, patrząc się w zwierciadło
Dni naszych, myśli zmierzwszy lot nizki,
Nie wzięłbyś nieba także za cel pieśni.

Jak to być może?

Jak to być może?
Tak jasną wczoraj
Widziałem zorzę —

A dziś!...

Jak to być może?
Widziałem wczoraj
Kwiaty tak hoże

A dziś!...

Jak to być może?
Tak byłem wczoraj
Szczęśliw... Mój Boże,

A dziś!...

Jak to być może?

Zmiany.

O śpój heleńska pieśni, nie ruszaj się z mogiły,
Bo zmlkniesz znów, gdy ujrzysz, jak czasy się zmieniły.

Wraz z całym czarem mitów runęły wielkie bogi,
Apollo znikł bez śladu, a Pegaz złamał nogi.

Nie dźwięczy już po łąkach śpiew nimfy jasnolicój,
Nie kwapi się nikt czerpać z kastalskich wód krynicy.

Dryady, Faun i Satyr rzucili swoje fletnie,
Uciekła stara Parka, nikomu życia nie tnie.

Nawet to lube, piękne dzieciątko Afrodyty
Już strzał nie ciska w serca, jak twierdzą o niem mity.

Dziś na Olimpie pustki, lecz sprawa nie mniej krucha,
Dziś jeden Bóg, a jednak — tak mało kto go słucha!

Historja w życiu kobiety.

Kobięcych dziejów gwiazda, zanim zblednie,
Ma trzech okresów wyraźne znamiona:
Po dniach najmłodszych, wschodzą wieki średnie
I starożytność chmurą obleczona.

W pierwszych o wielkiej sile i potędze
Bojowych dążeń świadczy mieszczanina;
W życiu kobiety, jak w dziejowej księdze,
Od „reformacji“ okres ten się wszczyna.

W promiennej dobie, tłumiąc uniesienia,
Dziewczę nie walczy o sam tryumf z światem,
I choć tłum mężczyzn wdzięki jej ocenia,
Tryumfująca nie przestaje na tem.

Drobne jej ramię niestrudzone niczem
Do innych celów wtedy się wyteża;
Oto chęć wstaje w serduszku dziewiczem,
By zreformować swe życie przez męża.

Nie zawsze jednak dzieje się tak samo;
Często weselnym los zabrania godów,
A wieki średnie czynią serce bramą
Przepuszczającą wędrówki narodów.

Kiedy zaś runą nadziei pomosty,
Gdy już nikogo nie wabi wzrok łzawy,
Panna poczyną pokuty i posty
I do krzyżowej bierze się wyprawy.

Czasem się budzi w niej jeszcze głód życia,
Śnią się jej jacyś wieley i szlachetni,
Ale napróżno czeka ich przybycia
U schyłku wojny swej — trzydziestoletniój.

Poczem na grobie laurów i korony,
Na gruzach całej snów budowy szczytnój
Wschodzi, jak księżyc we mgłę otulony
Okres dewocji, okres starożytny.

Innym szczęśliwszym, oznaka królowej
Mirtowy wieniec na czole wykwita,
— Ona już dawno zdjęła djadem z głowy
I jest dziś sobie — ot, rzecz pospolita.

Kwiat szczęścia.

Tam, gdzie nie sięga oko,
Prawie do stropu nieba,
Daleko i wysoko
Po szczęścia kwiat iść trzeba.

Skał krawędziami ścieżka
To wznosi się to spada;
W głębiach przepaści mieszka
Niedola i zagłada.

Ciągle, marząc o cudzie,
Nieprzeliczoną zgrają
Po tej drożynie ludzie
Do góry się wspinają.

Gorących pragnień władza
Tak umysł im zamąca,
Że tego, co przeszkadza,
Drugi w dół nieraz strąca.

Zarówno też w głębinie,
Nie osiągnąwszy celu,
Razem z tamtymi ginie
Przez swą niebaczną wielu.

A jednak, choć wyprawa
Tak groźne trwogi budzi,
Z szczerą ochotą stawa
W szereg ten każdy z ludzi.

Jedną popchnięci żądzą,
Co ustawicznie wzrasta,
Chodzą, szukają, błędzą,
Mąż równie jak niewiasta.

Zaś gdy się komu uda
Na szczycie stanąć wreście,
Spostrzega, że to złuda,
Co rozgłaszały wieście.

Odarte z swej ponęty
Pryskają wnet nadzieje;
Ów szczęścia kwiat zaklęty
Tam wcale nie istnieje.

Patrzyły w górę oczy
W gonitwie, w chwilach szału,
Gdy cel ich, kwiat uroczy,
Gdzieindziej wiadł pomału.

Wyżyny go nie strzegą
Szczytami wspiętrzonymi,
Na dole obok niego
Nieraz szli ci pielgrzymi.

Nieraz jego kielichy
Na drodze swej spotkali,
Lecz depeząc kwiatek cichy,
Szli dalej, dalej, dalej.

Tylko dzieci gromadka
Figlarna i wesola
Wieńcami z tego kwiatka
Zdobila swoje czola.

Lecz choć on woniał mile,
Jak żaden kwiat na świecie,
O jego cenie, sile,
Cóż wiedzieć może dziecię?

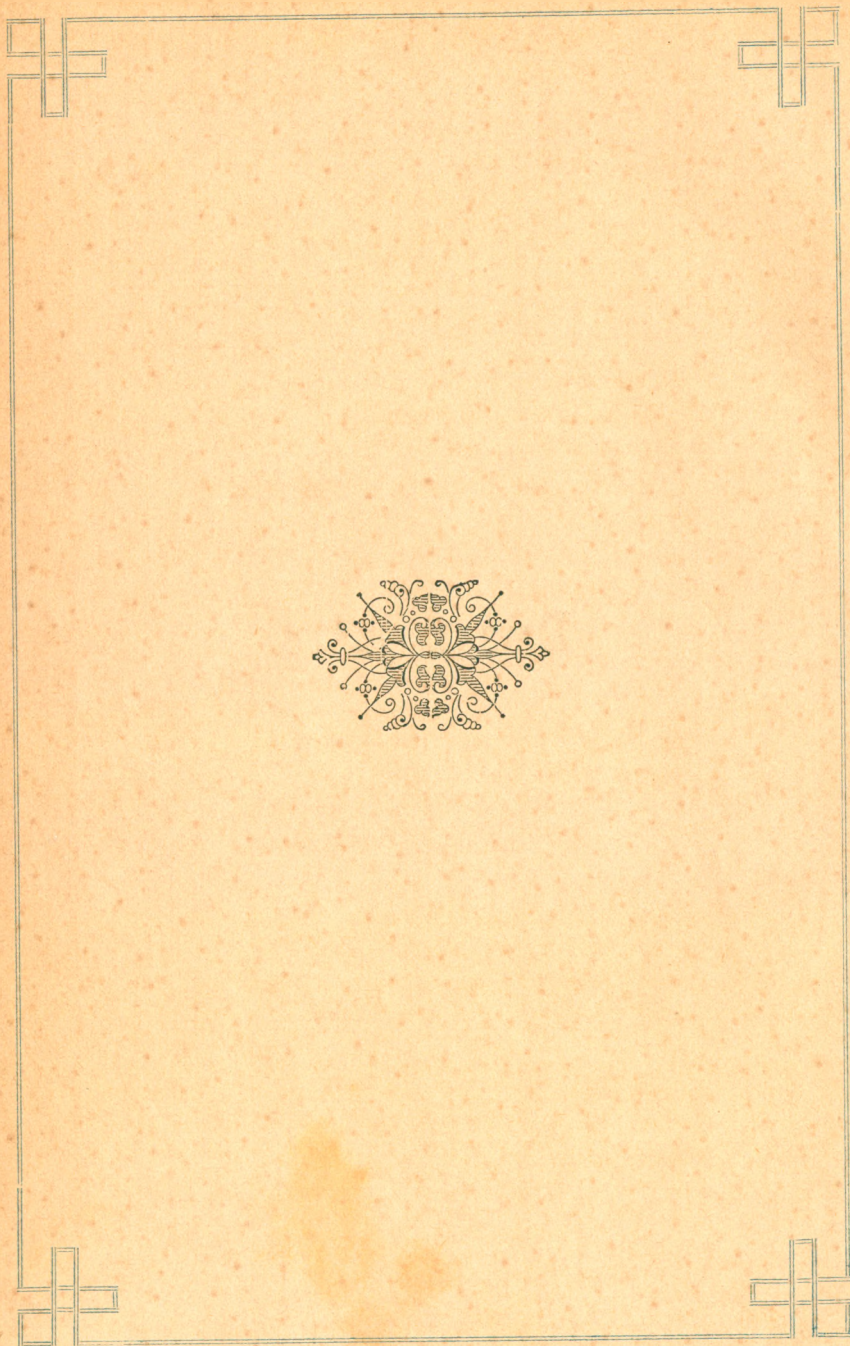
A ci, co tu z powrotem
Szli po utracie złudy,
Ci dzisiaj wiedzą o tem,
Jakie on stwarza cudy.

Lecz chociaż pragnień wiele
Ciagle ich jeszcze wabi,
By uszczknąć szczęścia ziele,
Są oni już za słabi.





Dziś i jutro.



I.

Wyrzucony będzie kąkol,
Co pszenicę zanieczyszcza
I ustąpią ze serc ludzkich
Urojone snów bożyszczka.

Pryśnie, jak mydlana bańka,
Ich potęga i ich władza;
Los już zwolna na tem niebie
Czarne chmury nagromadza.

Płyńcie, płyńcie wy zwiastuny
Burz przewrotów nowej ery;
Niech potężny grom wasz strzaska
Przepróchniałe świata stery.

Niech rozwieje tę drzemiącą
W cieniu wiatrów senną ciszę
I potężnem uderzeniem
Huragany rozkołysze.

Jak opiatem upojony
Świat bezwładnie dotąd leży,
Lecz i we śnie tym już żąda
Świeżych podniet, karmy świeżej.

On chce wyjść z poziomych szranków
I rzuciwszy precz przyłbicę,
Zmierzyć się z zagadką losów
 Jak przystało, lice w lice.

O, i pójdzie! Nie brak jemu
Siły, chęci, ni odwagi,
By odsłonić skryty w mroku
 Dumny posąg prawdy nagięj...

Pod symbolów zasłonami
Śpi królowna ta zaklęta,
Tęsknie wyczekując chwili,
 Kiedy prysną złudy pęta.

Skalną drogą, nad przepaścią,
Jak niebiosów toń głęboką,
Świat podaży kiedyś do niej,
 Śmiało w górę wznosząc oko...

Skalną drogą, nad przepaścią,
Niezachwiany i bez trwogi
Pójdzie postać jej odsłonić
 Z symbolicznych fałdów togi.

Lecz dziś jeszcze sen go mroczy;
Więc na oślep bieży do niej,
Jak lunatyk, co bezwiednie
 Za księżycą blaskiem goni.



II.

Czemże wobec wież niezłomnych,
Które strzegą prawdy grodu,
Na powiewnej mgle oparte
Eteryczne zamki z lodu?

W wieku maszyn, kotłów, fabryk,
Nie karmelków nam potrzeba;
Dziś brzmi tylko jeden pacierz:
— „Powszedniego daj nam chleba!“

Wyleczona z mistycyzmu,
Co ją trzymał w swoich pętach,
Goni ludzkość kolejami,
Na parowych śni okrętach.

U jej kolan dźwięczą dzisiaj
Wmiast czułego słów minstrela,
Elektryczne aparaty
Edissona, Graham-Bel'a.



Lecz się nie śmiać nam z mar jasnych,
Co tam śpią w mogile głuchój;
Inny wiek-bo był ich ojcem,
Inne je poczęły duchy.

Nam idei ich nie wolno
Czcą piętnować tylko brednię;
Przeszłość matką jest przyszłości,
Więc uchylmy czoła przed nią.

III.



Przeglądałem karty dziejów
Nader bacznie z każdej strony
I widziałem w nich widnokrąg
To pogodny, to schmurzony.

I widziałem, że ludzkością
Jakaś dziwna włada siła;
Raz jej fala szła do góry,
Drugim razem na dół biła.

W tem miotaniu ustawicznym,
To ohydna, to wspaniała,
Raz w olbrzymów rosła ludzkość,
To znów w karłów ród malała.

Ale-m nigdy jej nie widział,
By na drodze tej, czy owój,
Wstecz, czy naprzód podążając,
Doszła tylko do połowy.

Snać w przeznaczeń jej zakresie
Połowiczność nie jest znana;
Dnia od nocy w niej nie dzieli
Zmierzch wieczoru, ni brzask rana.



Szara chwila, mgliste świty,
Fałszem są w dziedzinie ducha:
Każda nowość, niby wulkan,
W jednej chwili z niej wybucha.

Tylko, że ów duch ludzkości
Szerszy czasów krąg rozchyła,
I co dla nas bywa wiekiem,
To dla dziejów jedna chwila.

IV.

Na przełomie nowych czasów,
Gdy znów wulkan nabrzmiął lawą,
Musi jego pierś rozsadzić
Naturalne, wieczne prawo...

Próżne wszystkie wysilenia,
Które wsteczny prąd poczyna;
Tu nacisku nie przemoże
Żadna z sztucznych klap Papina.

Gdy spokojna, to jak jagnię,
Lecz gdy żądza w niej powstanie,
Ludzkość depce bezlitośnie
Własny plon na świata łanie.

Wtedy trudów swych owocem
Hojnie mierzwi dziejów niwy,
By na glebie wyniszczalej
Zszedł ludzkości plon szczęśliwy.

Niechaj serca, ani duszy
Samolubstwo wam nie zrani,
Gdy padniecie pod jej stopą
Niby kłosy — podeptani.

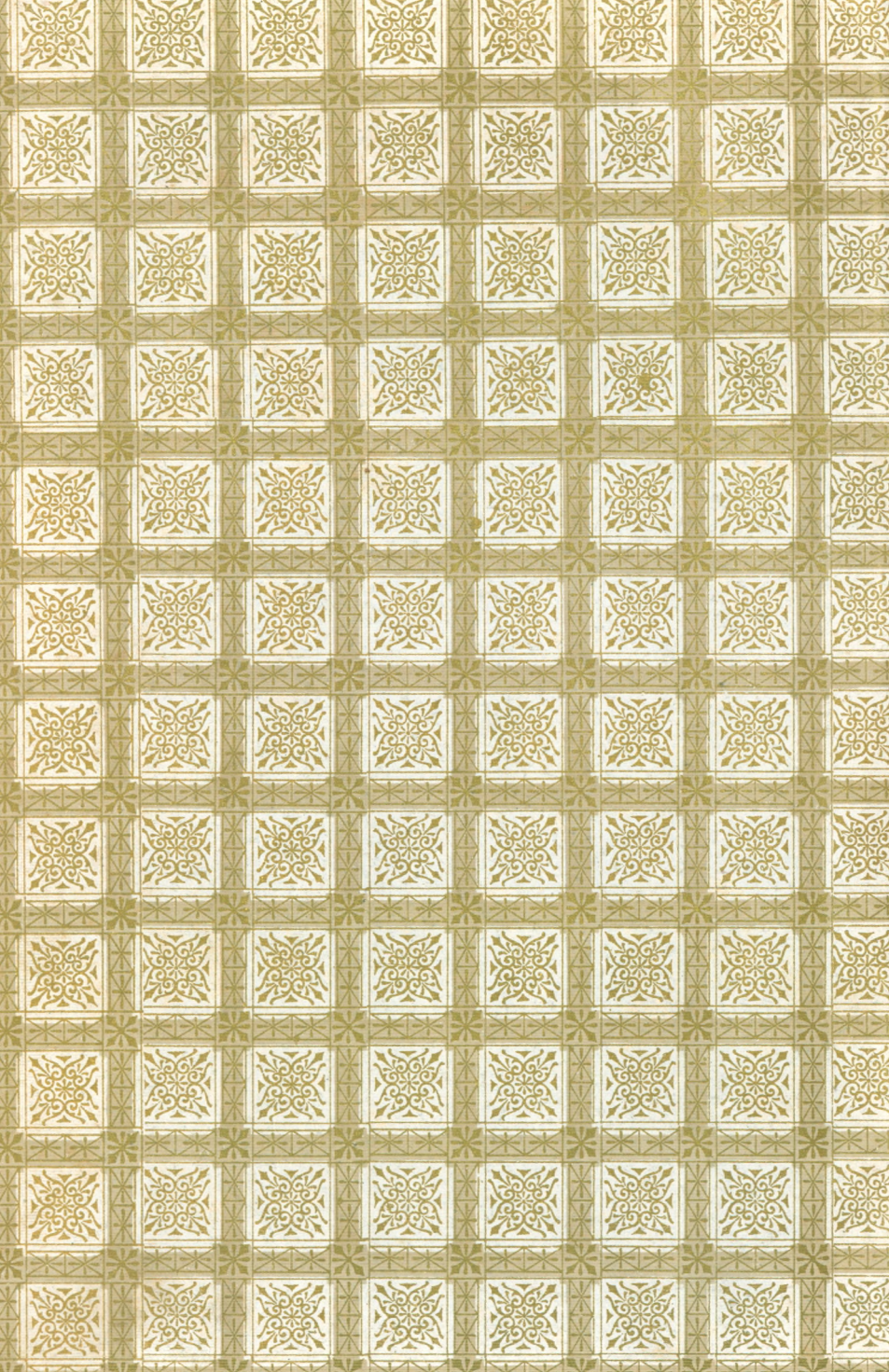
Może nawet sprawiedliwość
W głos natenczas się rozkwili,
Ale dzieje was pochwałą,
Żeście w czas zejść potrafili.

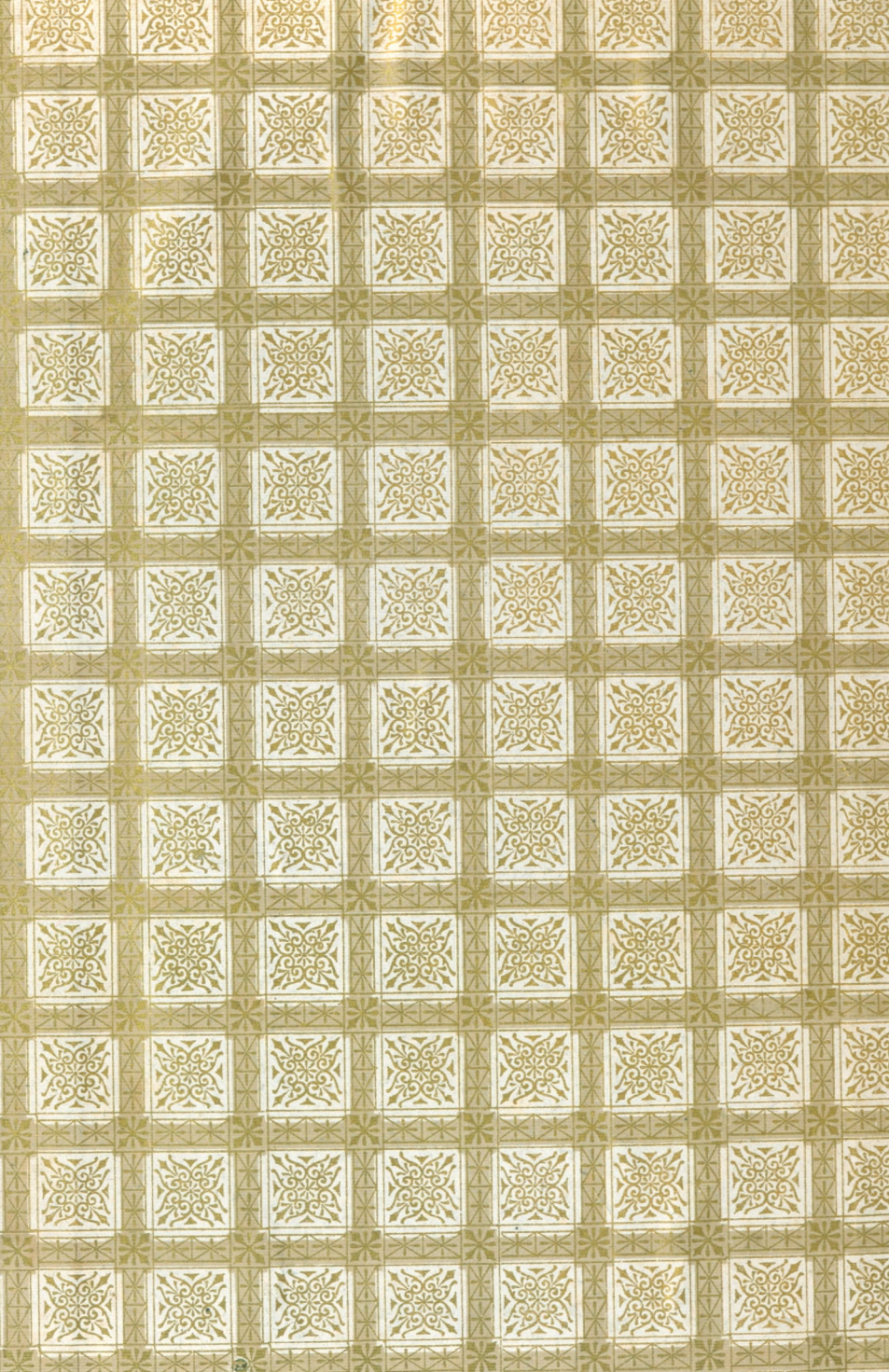
K O N I E C .



1.500. -

893446/88





WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

201876

Biblioteka WSP Kielce



0070056